NR 30 (1954) 28 LIPCA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



1944
2026

Historia ARCYPOLSKA

- CIĄGLE NIESPOKOJNIE W INSTYTUCIE PILECKIEGO
- KATARZYNY I PAULINY POMYSŁY-UMYSŁY

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

eprasa.pl 850b49e09b

FORUM EKONOMICZNE

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXV FORUM EKONOMICZNE

8-10 września
2026

Hotel Gołębiewski
Karpacz

ARCHITEKTURA NOWEGO PORZĄDKU
Stabilność w Czasach Zmian

Forum Ekonomiczne to największa i najważniejsza konferencja w Europie Środkowej i Wschodniej. Już od ponad 30 lat Forum, będące platformą do prowadzenia dialogu, skupia liderów politycznych, gospodarczych i społecznych pochodzących z ponad 60 krajów z całego świata.

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

eprasa.pl 850b49e09b



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Zjednoczona Prawica bez ziobrystów byłaby jak „Dynastia" bez Alexis. Pamiętam, że takie mniej więcej zdanie napisałem gdzieś w końcówce rządów Mateusza Morawieckiego. Akurat był wtedy taki moment, że środowisko Solidarnej Polski było na wylocie i ważyły się przez chwilę losy ich samodzielnego startu w wyborach.

Dziś sytuacja zmieniła się diametralnie. Na rok przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi na wylocie z PiS-u są tzw. harcerze, czyli grupa polityków orientujących się na byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Dawni ziobryści (dziś już pod nazwą Suwerenna Polska) siedzą zaś w siodle silniej niż kiedykolwiek. I łagodnie uśmiechnięci przypatrują się otwartej wojnie, którą Morawieckiemu wypowiedzieli tzw. maślarze, czyli trzecia z wielkich PiS-owskich frakcji, tradycyjnie programowo najsłabsza, ale za to najbliższa ucha prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Patrząc na fiasko rozmów ostatniej szansy pomiędzy Morawieckim a Kaczyńskim, chętnie bym dziś powtórzył, że PiS bez harcerzy będzie jak wspomniana „Dynastia" bez wspomnianej Alexis. Dla młodszych Czytelników spieszę z przypisem, że jest to nawiązanie do kultowej w szalonych latach 90. reklamy pierwszego na polskim rynku mleka w proszku, bez którego kawa miała smakować właśnie tak, jak gdyby z kultowego w tym samym czasie amerykańskiego tasiemca o losach rodu bogaczy Carringtonów wyeliminować graną przez aktorkę Joan Collins postać wampirycznej femme fatale.

Wróćmy jednak do Polski roku 2026. Jeżeli faktycznie Mateusz Morawiecki i grupa jego ludzi zostanie z PiS-u wypchnięta, to będzie bardzo zły scenariusz dla największej partii polskiej opozycji. Argumentów jest wiele. Najważniejszy z nich jest ten, że Morawieckiemu autentycznie udało się w czasach premierowania połączyć wiele sprzeczności. Starą patriotyczną prawicowość pożenił z nowymi trendami socjalnego populizmu. A tradycyjny konserwatyzm z ssaniem na wielkie projekty modernizacyjne. Na dziś nie widzę w obozie PiS-u żadnego innego środowiska, które dawałoby gwarancję na zrobienie czegoś podobnego. Tzw. suwpolizacja PiS-u grozi odrzuceniem projektu przez bardziej umiarkowaną część społeczeństwa. Pełne zwycięstwo maślarzy to ucieczka w nierealistyczną fantazję, że Kaczyński będzie żył wiecznie.

Operacja wyrzucenia Morawieckiego za burtę PiS może oznaczać kolejną kadencję dla uśmiechniętego rządu Donalda Tuska.

Oczywiście są tacy, którzy wieszczą, że rozłam to – tak naprawdę – poszerzenie zdolności koalicyjnych PiS-u. Na koniec dnia hipotetyczna partia Rozwój Plus Morawieckiego będzie mogła się stać trzecim – obok dwóch konfederacji – koalicjantem PiS-owców. Co z kolei miałoby zwiększyć szanse na zawarcie takiego porozumienia całego bloku antytuskowego obcinając nieco pewność siebie i poczucie bezalternatywności po stronie Sławomira Mentzena, Krzysztofa Bosaka czy Grzegorza Brauna.

Na drodze do takiego scenariusza stoi jednak oczywiście polski system polityczny, który premiuje jednak partie duże w ramach ordynacji zgodnej z tzw. metodą D'Honta. Na końcu którego operacja wyrzucenia Morawieckiego za burtę PiS może oznaczać kolejną kadencję dla uśmiechniętego rządu Donalda Tuska lub któregoś z jego ewentualnych pomagierów.

eprasa.pl 850b49e09b

28.07.2026
WYDANIE Nr
30

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

82. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego



6 **Serce w plecaku**

10 **„I będziem trwać – kamienie – wzdłuż dróg drogowskazami”**

14 **Pokolenie, które nie zna wojny. Rozmowa z J. Perłowskim, B. Grzegorczykiem i K. Kusion**

18 **Mapy pamięci, mapy niechęci**

22 **Gdy władza nie chce pamiętać**

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Paryskie gody redaktora M. 26

KRAJ

Architektura nowego porządku w czasach globalnych zmian 30

W kogo uderzy lex szarlatan? 30

ZAGRANICA

Ani wielka, ani zjednoczona 36

SPOŁECZEŃSTWO

Wspomnienie o demokracji liberalnej 40

KULTURA

Niczego nie żałuję. Rozmowa z Ż. Chełminiak 44

Paternalistyczny monolog wielkomiejskich elit 48

W drugim tomie dzieje się gorzej. Rozmowa z Marianem Baczalem 52

Clint Eastwood lubi Polaków? 56

LUDZIE WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

Nie miałem żadnych wzorców niepodległościowych. Sylwetka T. Pękalskiego 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Przewodniczący NSZZ „S” w Instytucie Pileckiego: „Marzymy o normalnej, spokojnej pracy” 66

„Czas pustych deklaracji dobiegł końca”. Pracownicy Azotów nie chcą już zaciskać pasa 70

FELIETONY:

OKRASKA 5

PŁUŻAŃSKI 21

GAC 39

POLECAMY:

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 13

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 33

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 34

KARUZELA Z BLOGERAMI 43

PRAWO 73

eprasa.pl 850b49e09b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Jednorazowi

Takeaway Express Poland sp. z o.o., działająca pod marką Pyszne.pl, planuje do końca sierpnia zwolnić wszystkich obecnych kurierów i kurierki. Według związków zawodowych zmiany dotkną 5 tys. osób, którym ma zostać zaproponowane ponowne zatrudnienie u jednego z pięciu wybranych partnerów flotowych, jednak na odmiennych warunkach.

Wiąże się to z zapowiadanymi przez Państwową Inspekcję Pracy zmianami, które miały dotyczyć obowiązkowego przekształcenia tzw. umów śmieciowych w pełnoprawne umowy o pracę, jeśli wykonywane obowiązki nosiły znamiona stosunku pracy, czyli były wykonywane w konkretnych godzinach, miejscach i pod nadzorem. Obecnie w spółce trwa kontrola Państwowej Inspekcji Pracy. Dotychczas kurierzy pracowali na umowach-zleceniach, z gwarantowaną stawką godzinową oraz dodatkowymi bonusami. Zwalnianym zostanie zaproponowane ponowne zatrudnienie u jednego z pięciu wybranych partnerów flotowych, którzy nie oferują jednak gwarantowanej płacy minimalnej czy podstawowych narzędzi koniecznych do wykonywania pracy, takich jak plecaki i stroje pracownicze. Oznacza to, że kurierzy będą opłacani wyłącznie za zrealizowane dostawy.

W Polsce przy dostawach jedzenia pracuje nawet 30 tys. osób. Duża część z nich to obcokrajowcy – słabo wynagradzani, nieznający lokalnego języka, niezdolni przebić szklanego sufitu i podjąć lepszej pracy, bez względu na to, co robili w kraju pochodzenia. Ten kij ma dwa końce: z jednej strony istnienie tak zdesperowanych pracowników sprzyja dumpingowi płacowemu i niezatrudnianiu Polaków przez platformy foodowe (bo po co, Polak droższy, zna swoje prawa i jeszcze się odezwie), z drugiej – powoduje, że spora grupa ludzi jest wykorzystywana tylko po to, by klasa średnia zbyt mało płaciła za usługi, z których korzysta.

Sprawa wywołała w kraju wiele dyskusji. Część obywateli współczuje kurierom nagłej zmiany na gorsze. Część uważa, że to jasne i oczywiste, iż prywatny przedsiębiorca tnie koszty. A że kosztem jest w tym wypadku człowiek? Komu to szkodzi, byle opłata za dostawę jedzenia pod drzwi nie wzrosła. Jak pisze analityk Kamil Fejfer: nie ma nic złego w rynku, ale musi on być trzymany pancerną pięścią za twarz. Inaczej wygeneruje nam szybko podklasę ludzi, żerując na ich słabościach, niemożności postawienia się i protestu, innych warunkach brzegowych w ich życiu, które nie pozwalają podjąć innej pracy.

Państwo, niestety, pomimo szumnych zapowiedzi nie zrobiło porządku w branży dostarczania jedzenia. Szemrane umowy pozostaną szemranymi. Coś tam pogadano, ogłoszono – te przepisy wprowadzono zresztą jedynie dlatego, że poprzedni rząd wpisał je do KPO – lewica w serii wpisów w mediach społecznościowych znowu opowiedziała o swojej sprawczości.

Kurierzy są w gorszej sytuacji, niż byli, a klasa średnia nadal tanio zamawia pizzę prosto pod drzwi albo prawdziwe, etniczne jedzenie dowiezione przez prawdziwego Hindusa. Nikt nic nie wie, nikomu nie zależy na cudzym losie.

eprasa.pl 850b49e09b



Fot. M. Żegliński

SERCE w plecaku

Stajecie na baczność, gdy 1 sierpnia o godzinie 17 co roku wycie syren przypomina godzinę „W”? A może śpiewacie wraz z artystami powstańcze piosenki sprzed ponad ośmiu dekad? Zapewne ci, którzy urodzili się w III RP, uważają, że to tradycja sięgająca **lat powojennych**. Błąd. To nie było nam – Warszawiakom ani w ogóle polskim patriotom – dane samo z siebie.

Monika Małkowska

Opamięć o Powstaniu Warszawskim trzeba było latami walczyć, bo dla komunistów było to wspomnienie niewygodne, niezgodne z linią partii.

Kurant z baszty zegarowej

Ja, Mokotowianka z urodzenia, „od zawsze” znam „Marsz Mokotowa”, utwór z czasów Powstania Warszawskiego, nieoficjalny hymn dzielnicy, a zarazem hymn Hufca ZHP Warszawa-Mokotów. Słów i melodii marszu uczono nas już w podstawówce (bez rozwodzenia się nad okolicznościami jego powstania). Melodię marszu słyszę za każdym razem, kiedy około godziny 17 mijam basztę zegarową tzw. Gołębnika przy ulicy Puławskiej. Ten niby-kurant rozbrzmiewa od 1969 r. co dzień na pamiątkę godziny „W”. Przy-

eprasa.pl 850b49e09b

pomina, że na powstańczej mapie Mokotów był bastionem broniącym Warszawy od południa, dzielnicą walczącą 57 dni, co okupiła prawie dwoma tysiącami ofiar. „Marsz Mokotowa" to nie jedyna kompozycja, która przetrwała do dziś, przypominana przez coraz to młodsze pokolenia. Na pewno każdy zna „Serce w plecaku", piosenkę śpiewaną przez wojsko, harcerzy oraz właściwie wszystkich, którym dane było/jest spędzać wakacje na koloniach czy obozach. Otóż to akurat nie jest pieśń z czasów Powstania – choć tak bywa kojarzona. Powstała w 1933 r. z okazji Dnia Żołnierza, jednak szczególną popularność zyskała w polskich oddziałach partyzanckich, a także podczas warszawskiej insurekcji. I zawsze znajduje się w repertuarze koncertów „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki". Podczas tych wydarzeń wszyscy zgromadzeni wspólnie śpiewają te i inne znane strofy. To nie jedyne muzyczne hołdy oddawane bohaterom roku 1944. W Parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego (Grzybowska 79) od 25 lipca do 2 sierpnia urządzane są koncerty połączone z premierą okolicznościowej płyty, opracowanie której co roku powierzane jest innym autorom. Nie muszę dodawać, że jedni traktują to jak autopromocję; inni zaś naprawdę chcą wczuć się w aurę tamtych dni.

Wzrusz nasz powszedni

W tym roku głównym artystą przedsięwzięcia zatytułowanego „Łączy nas..." jest Błażej Król; wśród gości – Daria ze Śląska i Andrzej Piaseczny. Jak zwykle do grona współuczestników wydarzenia zaproszono weteranów i weteranki Powstania. Błażej Król nie pochodzi z Warszawy, jego nowa płyta jest zaś próbą spojrzenia na wydarzenia z 1944 roku okiem gościa. Obejrzałam klip promujący płytę/event. Wbrew deklaracji autora, że unika „romantyzowania" wojny, utwór „Miałem zabrać cię nad rzekę" utrzymany jest właśnie w konwencji ckliwego romantyzmu. Fabuła do bólu znana: piękna i młoda mężatka kocha i czeka; on poszedł walczyć, oczywiście zginął, ale w przedśmiertnym powidoku przypomina sobie obietnice dane żonce – park, rzeka, oni we dwoje. Potem ona tańczy w białej powłóczystej szacie na tle Pomnika Bohaterów Warszawy (dla przypomnienia – twórca Marian Konieczny, inauguracja monumentu – 1964 rok). Na koniec ona odkręca gaz i kończy wdowi żywot w wannie, z dosypką śmiercionośnych prochów, co z dezaprobatą obserwuje pies. Ale cóż to? Ona zmartwychwstaje, znowu tańczy na tle panoramy współczesnej Warszawy. To wideo jest próbą ujęcia w wersji glamour tragicznych i mało ładnych okoliczności śmierci dziesiątek tysięcy młodych (i nie tylko) ludzi, a na dodatek dziełem wtórnym. Pamiętacie przebój Kylie Minogue & Nicka Cave'a „Where the Wild Roses Grow" (1995)? Tamten klip był inspirowany obrazem prerafaelity Johna Everetta Millais'go „Ofelia" (1851/1852), który z kolei powstał na kanwie dramatu Szekspira... No i teraz mamy jeszcze jedno wydanie Ofelii – w wersji powstańczej. Ale wielu odbiorców przeżywa tzw. wzrusz. Bo nie znają pierwowzorów ani... Ewy Demarczyk.

WŁADZE PRL DOSTOSOWYWAŁY NARRACJĘ O POWSTANIU WEDŁUG WSKAZAŃ „PRZYJACIÓŁ" ZE WSCHODU. OD 1948 R. ROCZNICA ZNIKNĘŁA CAŁKOWICIE Z OFICJALNEGO KALENDARZA.

Niebo złote ci otworzę

To był przełom. O Powstaniu Warszawskim zaczęto mówić głośno za sprawą poezji śpiewanej. Co więcej, dramat naszej stolicy dotarł do świadomości pokolenia powojennego, którego w szkole nie uczono tej historii. W 1965 r. Ewa Demarczyk nagrała „Wiersze wojenne" Krzysztofa Kamila Baczyńskiego z muzyką Zygmunta Koniecznego. Po pewnym czasie powstał klip z tymi utworami ilustrowany dokumentalnymi ujęciami filmowymi z powstańczych czasów: czarno-białe, drgające stopklatki, bez upiększeń ani fabularyzowania. Baczyński, żołnierz Armii Krajowej, podharcmistrz Szarych Szeregów, większość swoich najdojrzalszych wierszy napisał w konspiracji pod pseudonimem Jan Bugaj. Zginął 4 sierpnia 1944 r. jako dwudziestotrzylatek. Jego niespełna rok wcześniej poślubiona żona Basia straciła życie miesiąc później, 1 września 1944 r. Demarczyk po raz pierwszy zaprezentowała te utwory na V Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie '65 (poza konkursem). Dzieło polifoniczne, w którym solowy śpiew/melodeklamacje Demarczyk splatają się z marszem wykonywanym ciągle mormorando (od szemrania do crescendo) przez chór męski. Linia melodyczna solistki kontrastuje lub zbliża się do „wojskowej"

eprasa.pl 850b49e09b

linii chóru. To dzieło – uważane za najbardziej dopracowaną kompozycję Koniecznego i kongenialne wykonanie Demarczyk – przyczyniło się z jednej strony do spopularyzowania gatunku zwanego poezją śpiewaną, ale też do przywołania dramatu samotnie walczącej Warszawy. A fraza „Jeno wyjmij mi z tych oczu/ szkło bolesne – obraz dni,/ które czaszki białe toczy/ przez płonące łąki krwi…" wbiła się w pamięć kilku pokoleń.

Sabotaż, zbrodnia, błąd

Jak wiadomo, władze PRL dostosowywały narrację o Powstaniu według wskazań „przyjaciół" ze Wschodu. Od 1948 r. rocznica zniknęła całkowicie z oficjalnego kalendarza. Czasy stalinowskie to okres totalnego potępiania, przemilczania i fałszowania historii. Dowódców AK oskarżano o sabotaż, faszyzm i działania na niekorzyść narodu. Represjonowano też ocalałych żołnierzy Powstania Warszawskiego, wydarzenia 1944 r. przedstawiano zaś jako polityczną zbrodnię oraz strategiczny błąd, jako że kolidowało to z sowieckimi planami przejęcia władzy w Polsce. W 1954 r. pojawiła się – po przerwie od 1946 r. – kompania honorowa na kwaterach powstańczych na Powązkach. Narracja wyraźnie zmieniła się w dobie odwilży i dojścia Władysława Gomułki do władzy. Zezwolono wówczas na budowę pomników oraz wyrażanie uznania uczestnikom Powstania (głównie młodym szeregowcom) i bohaterskiej ludności cywilnej jako patriotom, których „kontynuatorami" byli zwolennicy Października '56. To wtedy Andrzej Wajda mógł nakręcić „Kanał" (1956), pierwszy powojenny film przywołujący realia powstańczej tragedii. Jednocześnie nadal potępiano dowódców, kardynalną winą za klęskę obarczając Komendę Główną AK i rząd londyński, któremu zarzucano chęć zdobycia władzy choćby kosztem tysięcy ofiar. Rzecz jasna, przemilczano celowe zatrzymanie ofensywy Armii Czerwonej na linii Wisły, bez udzielenia wsparcia miastu, zarzucając aliantom niepospieszenie z pomocą. Gdy władzę w PRL przejął Edward Gierek, z jeszcze większą mocą podkreślano bohaterstwo walczących, oddzielając ich ofiarność od postawy „reakcyjnego" rządu na uchodźstwie. Ale w 1984 r., przy okazji 30. rocznicy Powstania, cenzura wstrzymała równoczesne wydanie kilkunastu książek o insurekcji, nakazując „rozproszenie ich", żeby sierpniowa data nie zyskała na znaczeniu.

Msze za Powstańców

Sytuacja zmieniła się pod koniec lat 70., kiedy uaktywniła się opozycja. I oto 1 sierpnia 1979 r. z inicjatywy działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Archikatedrze Warszawskiej odprawiono Mszę, po której uformował się pochód pod Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie żołnierze AK złożyli wieńce, a mowę wygłosił Wojciech Ziembiński, dziennikarz, działacz społeczny i katolicki, więzień polityczny w czasach PRL, jeden z inicjatorów „Listu czternastu" – protestu wobec represji stosowanych wobec uczestników wydarzeń Czerwca '76. Jednak najmocniejsze uderzenie w prosowiecką wersję nastąpiło w 40. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Wprawdzie w 1984 r. już nie obowiązywał stan wojenny (zniesiony 22 lipca 1983 r.), lecz wciąż w dużej części narodu atmosfera była napięta. Przed sierpniem 1984 r. wszystkie służby mundurowe zostały zmobilizowane do utrzymania „porządku i bezpieczeństwa" w mieście. Używając esbeckiego żargonu, obawiano się, że „elementy antysocjalistyczne mogą zakłócać porządek przebiegu uroczystości oficjalnych". SB przejęła ok. 800 ulotek „W 40. rocznicę Powstania Warszawskiego" z fragmentami wystąpienia komendanta głównego AK Tadeusza Bora-Komorowskiego oraz wierszami Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Kazimierza Wierzyńskiego, a także biało-czerwonym sztandarem z orłem w koronie i transparentem z napisem „Solidarność żyje i zwycięża". 31 lipca w Archikatedrze św. Jana odprawiono Mszę z udziałem prymasa Józefa Glempa, po czym ok. 8000 osób udało się pod Grób Nieznanego Żołnierza, gdzie złożono wieńce i odśpiewano pieśni patriotyczne. Podobno wśród zgromadzonych naliczono około 550 funkcjonariuszy Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Także 1 sierpnia celebrowano Msze w kościele garnizonowym przy ul. Długiej, Kościołach św. Krzyża i św. Stanisława Kostki. Jednak głównym miejscem niezależnych obchodów stał się Cmentarz Powązkowski. Warszawiacy gromadzili

GDY WŁADZĘ PRZEJĄŁ EDWARD GIEREK, Z JESZCZE WIĘKSZĄ MOCĄ PODKREŚLANO BOHATERSTWO WALCZĄCYCH, ODDZIELAJĄC ICH OFIARNOŚĆ OD POSTAWY „REAKCYJNEGO" RZĄDU NA UCHODŹSTWIE.

eprasa.pl 850b49e09b

się przy kwaterze Szarych Szeregów oraz w tzw. Dolince Katyńskiej. Odśpiewano m.in. hymn narodowy, „Rotę", „Ojczyzno ma". Jak relacjonował podziemny periodyk „Wola": „cmentarz żył tymi przypomnieniami, które w formie ulotek umieszczano na grobach i drzewach czy transparentach «Solidarność żyje i zwycięży»".

Symbol walki o niepodległość

W przeddzień 40. rocznicy Powstania Warszawskiego Komitet Wykonawczy NSZZ „Solidarność" wydał jakże ważne oświadczenie, w którym zauważył, że obchody PW są „...powstaniem narodowym, symbolem niezłomnej woli odzyskania niepodległości. [...] Powstanie było próbą odwrócenia fatalnego biegu wydarzeń. Nawet jeśli próba ta się nie powiodła, nie może [to] przekreślić faktu, że symbolizuje ona dla nas to samo, co Powstanie Kościuszkowskie i Styczniowe". Ostrzegano też, że „komuniści chcą, aby w pamięci narodowej zostało piętno beznadziejnego oporu, aby walkę o wolność Polacy widzieli jedynie jako symbol beznadziejności i politycznej głupoty. Chcą nas widzieć upokorzonych, złamanych rozpatrywaniem klęski, pozbawionych nadziei: chcą Polaków o kornie zgiętym karku". Zauważano również, że po upływie 40 lat Powstanie Warszawskie wciąż nie doczekało się swojego pomnika, o którego starania podjęto podczas tzw. karnawału Solidarności.

Pomnik w formie muzeum

Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego zaczęliśmy oficjalnie obchodzić dopiero w 2010 r., dzięki decyzji prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który rok wcześniej podpisał ustawę w tej sprawie. Zacznijmy od idei budowy Muzeum Powstania Warszawskiego: mówi się, że iskierka nadziei na stworzenie takowego pojawiła się wraz z odwilżą po śmierci Stalina. Ale... żadne działania nie zostały podjęte aż do 1981 r., kiedy powołano Społeczny Komitet Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego i rozpoczęto zbiórkę pamiątek po tym zrywie – a żyło jeszcze sporo uczestników insurekcji i ich rodzin. Dzięki tym zabiegom udało się zgromadzić kilkanaście tysięcy eksponatów, jednak sprawa nadal się wlokła. Aż dekadę zabrały przygotowania do budowy siedziby tej instytucji, która pierwotnie miała powstać w ruinach gmachu Banku Polskiego, powstańczej reduty przy ul. Bielańskiej. W 1984 r. konkurs na projekt muzeum ogłoszony został przez Muzeum Historyczne m.st. Warszawy i Stowarzyszenie Architektów Polskich; w 1986 r. wyłoniono zwycięzców i... znowu pauza do 1994 r., kiedy to wmurowano kamień węgielny pod budowę muzeum. Sukces? Skąd, z powodu niewyjaśnionych praw własnościowych do nieruchomości przy Bielańskiej do przebudowy nie doszło. Pojawiła się jeszcze koncepcja umieszczenia ekspozycji poświęconej Powstaniu w nieczynnym zbiorniku gazu na terenie Gazowni Warszawskiej na Woli, za czym optował Andrzej Wajda z poparciem Lecha Kaczyńskiego. Kiedy w 2002 r. ten drugi został prezydentem Warszawy, obiecał żyjącym jeszcze uczestnikom, że na 60. rocznicę wybuchu Powstania instytucja będzie otwarta. Tak też się stało – ustalono, że siedzibą będzie zabytkowy budynek dawnej Elektrowni Tramwajowej (ul. Przyokopowa 28). Prace adaptacyjne rozpoczęły się w kwietniu 2004 r. i trwały następne 4 miesiące w trybie 24 godziny na dobę. Stachanowcy! Ale zdążyli! W przededniu rocznicy Lech Kaczyński wreszcie otworzył muzeum-pomnik najważniejszego warszawskiego zrywu.

Na finał

W przededniu 1 sierpnia jak zawsze powracają – na różnym intelektualnym i emocjonalnym poziomie – te same rozważania: czy Powstanie '44 było bezsensowną „bohaterszczyzną", czy też bez względu na skalę strat pozytywnie zaważyło na naszych dalszych, powojennych losach? A ja pytam – dlaczego nie zastanawiamy się nad sensem Powstania w warszawskim getcie, którego finał był łatwy do przewidzenia, a mimo to nikt nie zarzuca kilkuset bojownikom straceńczej głupoty? Jak to możliwe, że wobec żydowskiego zrywu czapki z głów i żółte żonkile na klacie, a na naszą warszawską insurekcję wciąż spadają kolejne bomby zarzutów? Myślę, że część tych kwestii wyjaśnia powyższy tekst.

DLACZEGO NIE ZASTANAWIAMY SIĘ NAD SENSEM POWSTANIA W WARSZAWSKIM GETCIE, KTÓREGO FINAŁ BYŁ ŁATWY DO PRZEWIDZENIA, A MIMO TO NIKT NIE ZARZUCA KILKUSET BOJOWNIKOM STRACEŃCZEJ GŁUPOTY?

eprasa.pl 850b49e09b

„I będziem trwać – kamienie – wzdłuż dróg drogowskazami”

Kiedy podczas obchodów kolejnych rocznic 1 sierpnia organizatorzy uroczystości informują, że są z nami Powstańcy, ludzie wstają, biją brawo i rozlega się gromkie: „**Cześć i chwała Bohaterom!**”.

Agnieszka Żurek

To jedna z niewielu grup, która łączy naszą wspólnotę – bo choć prawa i lewa scena politycznego podziału ma „swoich” Powstańców, to jednak sami weterani cieszą się zazwyczaj powszechnym szacunkiem, a ich słowa są dla naszej wspólnoty ważne.

To niestety ostatnie lata z nimi, Powstanie wybuchło przecież 82 lata temu, toteż nawet najmłodsi partyzanci, którzy służyli wówczas np. w Szarych Szeregach, dziś zbliżają się do setki.

To dla nas zachęta do tego, aby doceniać ten wyjątkowy, wspólny czas, aby dokumentować, co tylko się da, aby samym Powstańcom umilić i ułatwić ostatnie lata życia, ale przede wszystkim dać im poczucie, że mogą „na wieczną wartę” odchodzić spokojni o to, że nowe generacje przejmą pałeczkę ich zaangażowania w sprawy ojczyzny.

I iść będziemy z Polską szarymi szeregami
I będzie Bóg z nami – i będzie Naród z nami...
I będziem trwać – kamienie – wzdłuż dróg drogowskazami
I wieść będziemy Młodych szarymi szeregami...

– głosi treść Hymnu Szarych Szeregów, którego autor Tomasz Jaźwiński ps. „Julek”, działacz podziemnej konspiracji i członek redakcji pism patriotycznych pt. „Zawiszacy” i „Bądź gotów”, zginął zamordowany przez Niemców w 1943 roku, w wieku zaledwie 18 lat.

POWSTANIE WYBUCHŁO 82 LATA TEMU, TOTEŻ NAWET NAJMŁODSI PARTYZANCI, KTÓRZY SŁUŻYLI WÓWCZAS NP. W SZARYCH SZEREGACH, DZIŚ ZBLIŻAJĄ SIĘ DO SETKI.

„Powstanie musiało wybuchnąć”

O jakich drogowskazach pisał Jaźwiński? Legendarna łączniczka Szeregów Armii Krajowej (Zgrupowanie „Żywiciel”), druhna Hanna Szczepanowska ps. „Heban”, która w Powstaniu Warszawskim walczyła przez całe 63 dni – początkowo jako listonoszka w Harcerskiej Poczcie Polowej, a następnie jako łączniczka, całe swoje powojenne życie poświęciła dzieleniu się z młodymi ludźmi swoimi przeżyciami i przemyśleniami na temat powojennej rzeczywistości. Zaznaczała, że w każdym działaniu najważniejszy jest duch i postawa, intencja, z jaką podejmuje się określone decyzje. Uważała, że walka zbrojna to ostateczność, a ojczyźnie można – i należy – służyć przede wszystkim codzienną pracą, uczciwością w drobnych sprawach, budowaniem wspólnoty, działaniem na rzecz drugiego człowieka, a także modlitwą. Druhna Szczepanowska co miesiąc zamawiała Msze Święte w intencji odbudowy ducha polskiego narodu w Archikatedrze św. Jana na warszawskiej Starówce. Choć wojnę uważała za straszną tragedię, nigdy nie negowała sensu Powstania. – Nigdy nie pozwolę powiedzieć, że to było niesłuszne. Zawsze tłumaczę młodzieży, że to było konieczne z wielu powodów. Po pierwsze, byliśmy i tak

eprasa.pl 850b49e09b



Fot. Zbyszek Kaczmarek / FORUM

Powstańcy Warszawscy podczas obchodów 81. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Godzina „W" pod Pomnikiem Gloria Victis na Powązkach; Warszawa, 1 sierpnia 2025 r.

skazani na wywózkę na Syberię, jak się stało z akowcami w Wilnie. Po drugie, byliśmy tak bardzo zmobilizowani, że nie mogło nie wybuchnąć, a gdyby wybuchło niekontrolowane, mogłoby być dużo gorzej. A po trzecie, jednak zatrzymaliśmy tę nawałnicę. A po czwarte w końcu, Powstanie miało taką nośność, że mimo że byliśmy już co prawda sprzedani, ale mimo wszystko jakieś rozmowy w sprawie Polski dawały tę rękojmię, ten argument, że my jesteśmy narodem, z którym się trzeba liczyć. Dlatego uważam, że Powstanie musiało wybuchnąć, niezależnie od tragedii, którą się zakończyło – podkreślała w nagraniu dla Archiwum Historii Mówionej w Muzeum Powstania Warszawskiego.

– Z bardzo dużym wzruszeniem myślę o ludności cywilnej. Przez cały czas Powstania. Na początku, póki jeszcze stały domy, w każdej bramie, przechodząc wzdłuż domów w południe, można było wejść, bo wszędzie stał kocioł z zupą. Rzeczywiście ludność cywilna niesamowicie nam pomagała. Wszystkie przekucia piwniczne dawały nam priorytet przejścia. Ustępowali nam, byli serdeczni, oddawali wszystko, co mieli. A mieli niewiele, coraz mniej – wspominała. Powstanie to dla niej nie tylko sceny walki, ucieczki, śmierci, ale i poczucie wspólnoty. – Dokąd jeszcze „Prudential" jako tako stał, on [Przemysław Górecki ps. „Kuropatwa", żołnierz Szarych Szeregów, organizator Harcerskiej Poczty Polowej – przyp. aut.] nam w podziemiach „Prudentialu" urządzał wieczorne kominki. Tam żeśmy śpiewali wieczorami, dokąd jeszcze się dało. Ten śpiew to rzecz bardzo ważna! Młodzieży teraz to mówię, jak bardzo ważne jest wspólne śpiewanie. Nigdy tego nie zapomnę. „Kuropatwa" nas bardzo rozśpiewywał, on nam w tym śpiewie wzmacniał jedność. Kiedyś o czwartej nad ranem przed „Prudentialem" stanęłam razem z oddziałem idącym do pierwszej linii. Oni śpiewali jakąś modlitwę, a ja razem z nimi. Siły tego śpiewu, tego drżenia, tych skrzydeł rozwijanych, któreśmy czuli wszyscy w sobie, nie zapomnę do końca życia. Dlatego wiem jedno, że wspólne śpiewanie jest taką ogromną siłą, której nikt z młodzieży nie docenia! Szkoda, myśmy tego doświadczyli i mogę to potwierdzić – wspominała druhna Szczepanowska.

eprasa.pl 850b49e09b

Walka nie o prawdę, ale o narrację

Odchodzenie ostatnich naocznych uczestników walk okresu II wojny światowej ma konsekwencje nie tylko w wymiarze wspólnotowym i świadomościowym, ale także w wymiarze prawnym i politycznym. Kiedy nie będzie już z nami polskich więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych i naocznych świadków ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, przyjdzie nam zapewne stoczyć potężną wojnę o prawdę historyczną. Już teraz przecież stosowanych jest wiele zabiegów jej fałszowania, a chęć dostosowywania materialnych dowodów i relacji świadków do określonych tez pojawia się zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie.

Kiedy kłamstwa są kolportowane jeszcze za życia uczestników danych wydarzeń, możemy sobie wyobrazić, z jaką mocą rozpętają się po ich odejściu. Aby polityka historyczna nie stała się jedynie „wojną na narrację", ale by mogła bazować na prawdzie, konieczna jest mądra, asertywna, spokojna i zdecydowana postawa decydentów państwa polskiego, a także zapewnienie wolności w prowadzeniu badań naukowych przez powołane do tego instytucje, takie jak Instytut Pamięci Narodowej. Dzięki pracy IPN-u, kiedy zabraknie świadków, będą istniały ich relacje, a także materiały dowodowe pozwalające na ocenę tego, co wydarzyło się na okupowanych polskich ziemiach podczas II wojny światowej.

Kwestia uzyskania reparacji wojennych od niegdysiejszych okupantów powraca co jakiś czas w dyskursie politycznym, być może szanse są na to niewielkie, co jednak nie znaczy, że polskie państwo nie powinno zrobić wszystkiego, aby się tego domagać – a tu potrzebne są dowody, także materialne. To właśnie dowody nie tylko skali zbrodni, ale i rozmiarów jej okrucieństwa stały się jedną z przyczyn przerwania prowadzonych przez IPN prac ekshumacyjnych na Wołyniu w 2017 roku. Jak bowiem wytłumaczyć opinii publicznej setki roztrzaskanych dziecięcych czaszek pochowanych bez trumien w zborowych mogiłach? Dobrze, że prace zostały wznowione, że w Chełmie powstanie Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej i że istnieje szansa, aby przynajmniej próbować budować relacje między Polską a Ukrainą na prawdzie. Szkoda, że nie słuchano tych, którzy – jak choćby śp. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski – walczyli o to od lat. Gdybyśmy konsekwentnie działali na tej niwie jako państwo polskie jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie, dziś nie musielibyśmy prowadzić polityki w takim napięciu i przy tak rozhuśtanych emocjach społecznych.

„Ziemia nie kłamie" – głosi hasło przywoływane przez społeczny komitet domagający się wznowienia przerwanych ekshumacji w Jedwabnem. Ziemia – nie, politycy – owszem. Warto jednak zrobić wszystko, aby kłamać było im coraz trudniej i aby im się po prostu to nie opłacało.

CHOĆ PRAWA I LEWA SCENA POLITYCZNEGO PODZIAŁU MA „SWOICH" AKOWCÓW, TO JEDNAK SAMI WETERANI CIESZĄ SIĘ ZAZWYCZAJ POWSZECHNYM SZACUNKIEM.

GOŁĄB MICHALSKI



eprasa.pl 850b49e09b

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – W tym roku obchodzimy 82. rocznicę Powstania Warszawskiego. Przy tej okazji wspominamy naszych bohaterów, tych najbardziej znanych, ale także tych, o których mniej wiemy.

Tomek: – Tak, warto pamiętać także o ludziach, w tym bibliotekarzach, którzy ratowali przed zniszczeniem zabytki i zbiory polskiej kultury.

– Co przedstawia wykonana przez Pana fotografia?

– To nadpalona książka z Biblioteki Narodowej w Warszawie. W Bibliotece Publicznej na Koszykowej przebywająca grupa bibliotekarzy uratowała przed spaleniem zbiory po 17 stycznia 1945 r. Straty w samej Warszawie to wg wyceny z 2004 r. ponad 800 milionów złotych.

Tylko z jedynej biblioteki w Polsce w czasie II wojny światowej nie została zniszczona lub zrabowana żadna książka – z Biblioteki im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego. Ale to długa historia.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 850b49e09b

Pokolenie, które nie zna wojny

Gdy 1 sierpnia o godzinie „W” na Placu Zamkowym ponownie uformuje się Żywy Znak, wśród setek serc bijących w rytm Polski Walczącej będą też te najmłodsze – między innymi piętnastoletni **Błażej Grzegorczyk** z Zelowa i **Kinga Kusion** z Wałbrzycha. To młodzi ludzie, dla których Powstanie Warszawskie nie jest jedynie lekcją historii, lecz dziedzictwem, które czują jako własne. Nie muszą przyjeżdżać. Mogliby zostać w domu. A jednak pokonują setki kilometrów, by stanąć tam, gdzie 82 lata temu walczyli ich rówieśnicy – często niewiele starsi od nich. W rozmowie z **Wiktorią Grodzką Jacek Perłowski** oraz młodzi wykonawcy opowiadają o tym, co sprawia, że nowe pokolenie nie chce zapomnieć. O poczuciu odpowiedzialności. O podziwie dla tych, którzy „za każdy kamień Stolicy dali krew”. I o przekonaniu, że pamięć nie jest obowiązkiem – jest wiernością.



Od lewej: Iwona Ciecierska, Błażej Grzegorczyk i Jacek Perłowski podczas Żywego Znaku w 2024 r.

Fot. Tomasz Słowiński

eprasa.pl 850b49e09b

– Jacku, opowiedz, proszę, o Błażeju i Kindze. Kim są ci młodzi ludzie, którzy pojawią się z Tobą 1 sierpnia 2026 r. na Placu Zamkowym, by oddać hołd Powstańcom Warszawskim? Z tego, co wiem, obydwoje pokonują znaczną odległość, aby w godzinę „W" pojawić się na Placu Zamkowym. Co Twoim zdaniem motywuje ich do takiego działania?

Jacek Perłowski: – Nasze wydarzenie jest spontaniczne i oddolne, przychodzą mieszkańcy i turyści, całe rodziny, które chcą oddać hołd Powstańcom Warszawskim. Każdy angażuje się na swój sposób, tak jak potrafi. Od początku wspierają mnie żona i córka. Bardzo cieszy mnie też utalentowana młodzież, która pomaga w organizacji i wykonuje piosenki powstańcze. Błażej Grzegorczyk od kilku lat śpiewa na naszych koncertach, w tym na Placu Zamkowym, przyjeżdża z Zelowa, pokonuje prawie 200 kilometrów, by z nami być i działać. Ma dużą wiedzę historyczną – mimo swoich 15 lat – patriotycznego ducha i fantastycznie wykonuje powstańcze piosenki, a nawet bierze udział w ich komponowaniu. Kinga Kusion dołączyła do nas podczas koncertów poświęconych Żołnierzom Wyklętym. Przyjeżdża aż z Wałbrzycha, ale też chętnie angażuje się w patriotyczne działanie i śpiewanie. Oboje są profesjonalistami po szkołach muzycznych. O motywacje należałoby zapytać bezpośrednio Błażeja i Kingę, ale współpracując z nimi, widzę, że na pewno jest to poczucie patriotyzmu, szacunek dla naszych bohaterów oraz poczucie odpowiedzialności za Polskę.

– Błażeju, czy Twój udział w Żywym Znaku dla Powstania Warszawskiego jest jedynym działaniem związanym z historią? Co porusza Cię najbardziej w opowieściach o Powstaniu Warszawskim?

Błażej Grzegorczyk: – To nie tylko Żywy Znak, udzielam się w wielu wydarzeniach związanych z historią, na przykład związanych z Żołnierzami Wyklętymi, między innymi przy organizacji Rajdu ścieżkami Oddziału „Bartka", czyli Henryka Flamego – dowódcy oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych. Najbardziej poruszają mnie opowieści o tym, co niemieccy okupanci robili z cywilami, czyli na przykład to, że robili z nich żywe tarcze ustawione przed czołgami.

– Widzę, że masz świadomość, jak naprawdę wyglądała walka o wolną Polskę w Powstaniu Warszawskim. Czy jeśli żyłbyś w 1944 roku, brałbyś w nim udział?

B.G.: – Tak, wziąłbym w nim udział pomimo tego, że wiem, jak Powstanie Warszawskie wyglądało oczami powstańców. Stanąłbym do walki, by bronić Polski i stolicy.

– Kingo, w tym roku po raz pierwszy będziesz śpiewała powstańcze piosenki podczas Żywego Znaku dla Powstania Warszawskiego, powiedz, proszę, która z nich jest Ci najbliższa i dlaczego?

Kinga Kusion: – Myślę, że najbliższa jest mi piosenka „Dziś idę walczyć, Mamo". Jest to piosenka, która wywołuje u mnie bardzo dużo emocji i mam do tej niej wielki sentyment, przez co wydaje mi się, że właśnie ona jest najbliższa mojemu sercu. Przypomina mi o ludziach, którzy byli gotowi stanąć do walki. Czuję dla nich ogromny podziw, ponieważ musiało być to niesamowicie trudne doświadczenie i raczej nie każdy młody człowiek był gotów na takie poświęcenie.

– Jesteś obecnie na progu dorosłości, właśnie zdałaś maturę. Czy w swoim dorosłym życiu dalej planujesz udział w wydarzeniach takich jak Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego?

K.K.: – Oczywiście. Planuję dalej brać udział w wydarzeniach patriotycznych, wydaje mi się, że wiek nie ma tu znaczenia. Każdy Polak powinien znać historię i działać w akcjach związanych z historią naszego kraju. Nieważne, czy jest dzieckiem, czy dorosłym człowiekiem, historię trzeba upamiętniać, by nowe pokolenia o niej słyszały.



Fot. Tomasz Słowiński

Kinga Kusion podczas koncertu „Niezłomni, Niepokonani, Wyklęci" w marcu 2026 r.

– Kingo, Błażeju, co chcielibyście przekazać – jako przedstawiciele młodego pokolenia – swoim rówieśnikom, którzy być może jeszcze „nie czują" historii Powstania Warszawskiego? Jak zachęcilibyście swoich przyjaciół i kolegów do brania udziału w wydarzeniach patriotyczno-historycznych?

K.K.: – Od siebie mogę powiedzieć, że chciałabym przekazać rówieśnikom historię, która działa się za czasów Powstania w trochę inny sposób, niż mogą o niej usłyszeć np. w szkole. Myślę, że piosenki mogą mieć w tych czasach dużo bardziej zrozumiały przekaz. Dzięki muzyce ludzie mogą łatwiej poczuć i zrozumieć, co działo się w tamtych czasach, gdy nasi przodkowie walczyli o wolność i o to, by żyć w wolnym kraju. Moim zdaniem

eprasa.pl 850b49e09b

dobrą zachętą dla młodych ludzi może być zaproszenie na koncert. Gdy zobaczą inscenizację, wsłuchają się w teksty piosenek oraz usłyszą historie opowiadane przez konkretne osoby, może to ich sprowokować do refleksji.

B.G.: – Ja poleciłbym obejrzenie serialu „Czas honoru". Jest w nim bardzo dobrze przedstawione zarówno to, jak wyglądały przygotowania do Powstania, jak i sam czas walk. Zaprosiłbym także młodych ludzi na takie wydarzenia jak Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego lub na inscenizację historyczną. Na pewno wówczas zdobyliby dużo wiedzy oraz przyczyniliby się do zachowania pamięci o Powstaniu.

– Jacku, jak co roku Żywy Znak pozostaje oddolnym happeningiem, ale zmieniają się szczegóły organizacyjne. Czego możemy spodziewać się w tym roku?

J.P.: – To prawda, że nasze wydarzenie co roku wygląda trochę inaczej, ma nowe elementy i co roku zmienia się lista współorganizatorów. Cieszymy się, że już po raz drugi Fundacja Promocji Solidarności objęła nasz happening patronatem medialnym. Widzę w tym ciągłość walki o niepodległość: Powstanie Warszawskie, Żołnierze Wyklęci, Solidarność – te same cele, te same wartości, to samo umiłowanie Ojczyzny. Kolejny raz Stowarzyszenie FORT pomaga nam w organizacji i ustawieniu jak najlepszego kształtu „Kotwicy". Podobnie jak w latach ubiegłych pomagają nam również m.in. Instytut Haliny Konopackiej, Fundacja Służba Niepodległej i wiele innych osób i organizacji. W tym roku plakat przygotował dla nas człowiek, który prowadzi w mediach społecznościowych konta historyczno-humorystyczne „Polska Gra o Tron". Cieszymy się każdym wsparciem, które dostajemy od wielu różnych osób. Jedną z nich jest Iwona Ciecierska, która co roku pomaga nam w tłumaczeniu na żywo tego, co dzieje się podczas naszego happeningu, na język angielski. W ten sposób zagraniczni turyści, którzy odwiedzają latem warszawską starówkę, również są informowani o celu i przebiegu naszego zgromadzenia. W tym roku do organizatorów dołączyła wiodąca firma zajmująca się naziemną obsługą samolotów: LS Airport Services, czyli największa w Polsce firma zajmująca się obsługą samolotów na lotniskach, która sfinansowała nam nagłośnienie podczas całego happeningu. Dzięki temu możemy słuchać piosenek śpiewanych przez Błażeja i Kingę, informacji organizacyjnych oraz ciekawostek o Powstaniu w języku polskim i angielskim. W tym roku, po raz drugi w naszym wydarzeniu, wezmą udział żołnierze wydelegowani z 1. Warszawskiej Brygady Pancernej im. gen. Tadeusza Kościuszki. Cieszy nas obecność pancerniaków. Powstańcy Warszawscy też dysponowali pojazdami pancernymi: zdobytym niemieckim transporterem Sd.Kfz.251 zwanym „Szarym Wilkiem" oraz „Kubusiem" – pojazdem pancernym skonstruowanym i zbudowanym przez samych powstańców.



Fot. Inez Brodowska

Ujęcie z drona podczas happeningu Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego, 2019 r.

eprasa.pl 850b49e09b

Nowością jest też nasz program artystyczny. W tym roku, obok piosenek śpiewanych podczas Powstania, zaprezentujemy nowe, które powstały w naszym stowarzyszeniu: napisane i skomponowane w duecie: Jacek Perłowski i Błażej Grzegorczyk. Są to piosenki: „Bohater Polski Witold Pilecki", „Do Kraju tego" oraz „Poleskie dziewczyny niezłomne". Tą ostatnią chcemy oddać szczególny hołd dziewczynom, kobietom walczącym na pierwszej linii frontu jako łączniczki, sanitariuszki czuwające do końca przy rannych w szpitalach polowych, nawet wtedy gdy groziła im śmierć pod gruzami lub z rąk żołnierzy SS. Na pewno mogę powiedzieć, że jedno się nie zmieni – równo o godzinie 17.00, jak cała Warszawa, tradycyjnie staniemy na baczność, a tuż po godzinie „W", kiedy ucichną syreny, odśpiewamy hymn Polski. Jest to jeden z najbardziej wzruszających i motywujących momentów, jakich przyszło mi doświadczyć we wszystkich latach organizacji naszego happeningu.

– Jak wygląda współpraca międzypokoleniowa przy organizacji takich wydarzeń? Czy fakt, że mieszkacie w różnych miastach, stanowi przeszkodę?

J.P.: – Mieszkam i najczęściej działam w Warszawie, Błażej i Kinga mieszkają w innych miastach. Dzielą nas setki kilometrów, jednak potrafimy działać razem. Odległość jest oczywiście pewną przeszkodą, ale traktujemy to jako wyzwanie. Technika trochę nam to ułatwia, są maile, komunikatory, telefony, jednak najważniejsza jest chęć wspólnego działania. Tak więc wkładamy w nasze patriotyczne wydarzenia wiele trudu, ale są tego dobre owoce.

– Powstańcy dokumentowali walkę mimo ogromnego zagrożenia. Wy również robicie zdjęcia, zdarzały się również piękne ujęcia Żywego Znaku robione z wykorzystaniem drona. Zachęcacie uczestników tego happeningu do publikowania relacji. Dlaczego to jest dla Was tak istotne?



Fot. Tomasz Stowiński

Uczestnicy Żywego Znaku dla Powstania Warszawskiego w 2024 r.

J.P.: – Zdjęcia, filmy, dokumentowanie naszego działania to przede wszystkim świadectwo. Dzięki archiwalnym materiałom możemy poznać realia i atmosferę powstańczych dni, odkryć sens tej walki. Gdy Powstańcy śpiewali: „Za każdy kamień twój, Stolico, damy krew!", walczyli, by to Warszawa była stolicą wolnej Polski. Byli świadomi, że w innym przypadku Polska nie będzie niepodległa. Podobnie my stajemy w znaku Polski Walczącej w centrum Warszawy i śpiewamy te same słowa, wierzymy tak samo w wolną Polskę i dokumentujemy to na zdjęciach i filmach. Ważne jest dla nas, żeby w świat szła informacja, że my, Polacy, może i się różnimy w wielu sprawach, ale w kwestiach takich jak pamięć o bohaterach narodowych, szczególnie tych, którzy oddali życie za naszą wolność, co do zasady jesteśmy zgodni.

– Jakie jest najważniejsze przesłanie, które płynie z organizacji takich wydarzeń jak Żywy Znak?

J.P.: – Niepodległa Polska to szacunek do jej historii i pamięć o jej bohaterach – przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Jacek Perłowski – syn powstańca warszawskiego, prezes Stowarzyszenia Historycznego Polonia Restituta, od 13 lat przewodniczący zgromadzenia publicznego podczas happeningu historycznego Żywy Znak dla Powstania Warszawskiego odbywającego się w godzinę „W" na Placu Zamkowym.

Kinga Kusion – mieszka w Wałbrzychu, w którym do tej pory ukończyła szkołę muzyczną oraz liceum. Śpiewa i występuje w Zespole Pieśni i tańca Wałbrzych i Zespole ARTyści. W Stowarzyszeniu Historycznym Polonia Restituta działa od marca 2026 r.

Błażej Grzegorczyk – mieszka w Zelowie. Ukończył z wyróżnieniem szkołę podstawową oraz szkołę muzyczną I i II stopnia. We wrześniu rozpoczyna naukę w Zespole Szkół Mundurowych w Ostrowie. Jest laureatem konkursów patriotycznych. W Stowarzyszeniu Historycznym Polonia Restituta pomaga podczas organizacji koncertów, inscenizacji oraz rekonstrukcji historycznych.

eprasa.pl 850b49e09b



Mapy pamięci, mapy niechęci

Jakub Pacan

Polityka historyczna nie jest zamkniętą historią. To składnik często najważniejszy w relacjach międzypaństwowych. Lekceważenie go przynosi wymierne straty, o czym III RP przekonywała się **boleśnie**. Warto o tym pamiętać przy okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Fot. Adobe Stock

Pomnik Powstania Warszawskiego; Warszawa

Losy obchodów wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia w krótkiej historii III RP stanowią pewnego rodzaju miernik sporów toczących się o politykę historyczną. Po 1989 roku obok pragnień nadrobienia luk w pamięci i uczczenia tych, których komunizm czcić zakazywał, a nawet mordował, pojawiły się bardzo silne sugestie od wpływowych grup liberalnej lewicy, by na początek może w ogóle zastanowić się, czy Polsce potrzebna jest polityka historyczna? A jeśli jakieś jej elementy są już konieczne, to co Polacy powinni pamiętać z przeszłości narodu, a o czym powinni zapomnieć? W ogóle zadawano głośno pytania, czy nowoczesne państwo o europejskich aspiracjach potrzebuje specjalnych instytucji, by uprawiać taką politykę? Stronie liberalno-lewicowej większość odpowiedzi wychodziła na nie.

Ucieczka do przyszłości

Establishment III RP umoczony w komunę i jej mroczne sprawki wybrał strategię zasuflowaną mu przez Adama Michnika, który proponował „ucieczkę do przodu", szybkie dogonienie Zachodu bez oglądania się wstecz. Postkomuniści z wdzięcznością to podchwycili, Aleksander Kwaśniewski w kampanii prezydenckiej w 1995 roku miał hasło: „Wybierzmy przyszłość". Po co się babrać w martyrologii, budować tożsamość na postromantycznym resentymencie, skoro Europa po uszy tkwi w epoce sekularnej, późnej nowoczesności, a Polacy muszą przejść tę samą drogę jak najszybciej, by nie odezwały się dawne „demony nacjonalizmu".

Toteż kiedy plany budowy Muzeum Powstania Warszawskiego dzięki uporowi Lecha Kaczyńskiego nabrały realnych kształtów, medialny aktyw postkomunistycznej lewicy pisał o powrocie do archaicznej formy patriotyzmu, czczeniu szowinizmu narodowego i niepotrzebnej martyrologii. Niektórzy pobrzękiwali, że to może prowadzić nawet do ciągot faszystowskich.

Ani powstanie muzeum, ani rehabilitacja Żołnierzy Wyklętych nie spowodowały jednak, że na ulicach

eprasa.pl 850b49e09b

zaczęły się marsze z pochodniami neofaszystów z podkutymi buciorami, „jak w Niemczech w latach 30.", jak martwili się niektórzy redaktorzy „Gazety Wyborczej". Za to zarówno klasa polityczna, jak i społeczeństwo coraz boleśniej zaczęły sobie uświadamiać, że polityka historyczna to nie jest żaden dodatek do bieżącej polityki, obciążenie, skansen, fanaberia czy zbędny koszt utrzymania muzeów i miejsc pamięci, ale bardzo ważny element polityki aktualnej, tu i teraz.

Nagle się okazało, że w Niemczech żyje i całkiem dobrze funkcjonuje pani Erika Steinbach, deputowana do Bundestagu i wieloletnia szefowa niemieckiego Związku Wypędzonych oraz działaczka Ziomkostwa Prus Zachodnich, która mówiła o niemieckiej krzywdzie w czasie II wojny światowej, na której upasła się Polska, i kwestionowała zachodnią granicę Rzeczpospolitej. Okazało się, że nie ma się co cieszyć na wyrost z największej liczby polskich drzewek ku czci Sprawiedliwych w Yad Vashem, bo Polacy to szmalcownicy i naziści polujący na Żydów, którym cudem udało się uciec z obozów zagłady.

Myśleliśmy jako naród, że pamięć o niewinnie przelanej krwi i zniszczeniach w II wojnie światowej, pamięć o jedynym okupowanym narodzie, którego oficjalne władze nie kolaborowały z Hitlerem, duma, że jedynie w Polsce i Serbii za pomoc Żydom groziła kara śmierci, automatycznie wynosi nas do panteonu bohaterów okresu II wojny światowej. Polacy traktują politykę w kategoriach racji moralnych, inaczej niż reszta Europy traktująca ją w kategoriach utylitarnych, dlatego wierzyliśmy, że sytuacja, w której moralnie byliśmy w porządku, stanowi nienaruszalne, święte tabu wynoszące naszą ofiarę i heroizm w obszar sacrum. A wiadomo, że to jest coś, co w sferze świętości można tylko czcić i podziwiać. My przesiąknięci do rdzenia tożsamości katolicką etyką nie poważamy się na atakowanie sacrum.

I fakt, że Polska chełpi się Powstaniem w stolicy trwającym 63 dni czy brakiem kolaboracji z nazistowskimi Niemcami, wcale jej splendoru w Europie nie przysparza. To też musimy sobie w końcu uświadomić. Tam prawie każdy umoczony jest w umizgi z III Rzeszą, każdy dołożył małą nawet, ale cegiełkę do deportacji swoich żydowskich obywateli, do obozów zagłady. W Paryżu powstanie trwało tydzień, w Pradze – 5 dni. To, że naród szczególnie uciskany w czasie okupacji potrafił zachować twarz i prowadzić Powstanie w skrajnie trudnych warunkach, nie działa na jego korzyść, ale paradoksalnie przeciw niemu, bo wzbudza poczucie winy i niższości wśród tych, którzy kolaborowali i nie byli tak heroiczni. O ile łatwiej byłoby powiedzieć, że taki był czas, kolaborowali wszyscy. A okazuje się, że można było się nie ugiąć przed Niemcami, płacąc za to życiem.

W XXI WIEKU HISTORIA STAŁA SIĘ JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH PÓL RYWALIZACJI MIĘDZY PAŃSTWAMI.

POLACY TRAKTUJĄ POLITYKĘ W KATEGORIACH RACJI MORALNYCH, INACZEJ NIŻ RESZTA EUROPY.

Świętość i podłość

Dla naszych sąsiadów polityka historyczna jest tworzywem, w którym wszystko można mieszać – świętość z podłością, łajdaków oczyszczać i wynosić na piedestał – a własne winy relatywizować. Można nawet własnym brudem obdarowywać sąsiadów, których się nie lubi.

Jeśli lewicowo-liberalnych sceptyków nie przekonują argumenty strony patriotycznej, że warto inwestować zasoby symboliczne, polityczne i ekonomiczne w rywalizację o interpretację przeszłości, to niech przekona ich przykład kraju, na który często tęsknie spoglądają, czyli Niemcy. Nasi sąsiedzi wydali setki miliardów marek, z których powstały całe gałęzie przemysłu w Izraelu, na zadośćuczynienia i odklejenie słowa „nazista" od słowa „Niemiec". To ich miękkie podbrzusze i nawet w stosunku do podporządkowanej sobie w ramach UE w dużym stopniu Polski kwestia niemieckiej winy autentycznie ich niepokoi. Oni po prostu boją się naszych roszczeń. Jeśli cokolwiek wzbudza w nich niepokój w stosunkach z Polską, to właśnie temat ewentualnych roszczeń i przypominanie o ich zbrodniach.

Ten, kto opowie historię pierwszy lub kto wciśnie swoją wersję historii w zęby reszcie zainteresowanych, zyskuje przewagę nie tylko moralną, ale często również polityczną. Ten, kto oddaje pola w tym obszarze antagonistycznym wersjom wydarzeń,

eprasa.pl 850b49e09b

nie osłabia jedynie wspólnoty narodowej, ale pozostawia pola do manipulacji przez innych.

Polityka historyczna w Europie, a szczególnie w części Europy Środkowo-Wschodniej, to nieustanne miejsce walk, przesuwania się linii frontu o pamięć, honor i odszkodowania. To w końcu potężne narzędzie dyplomatyczne w postaci wyrzutów sumienia i dozowania poczucia winy na oprawców, nawet gdy zbrodni dokonano kilkadziesiąt lat temu. Zresztą zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu, mówi o tym artykuł 43 konstytucji RP.

Niestety, ten zapis w konstytucji jest bardziej symboliczny niż praktyczny, nasza polityka historyczna przez lata była reaktywna, odpowiadała tylko na ataki, dosyć niemrawo zresztą. O jej słabości świadczą także zabiegi osłabionej, będącej w stanie wojny Ukrainy, która próbuje swoje ludobójstwo dokonane na setkach tysięcy Polaków na Wołyniu zrównać z akcjami AK w Bieszczadach lub Akcją „Wisła". Fakt, że Ukraińcy nie wiedzą nic lub bardzo niewiele trzydzieści lat po upadku ZSRR o rzezi wołyńskiej, to wielki akt oskarżenia dla wszystkich polskich elit politycznych od 1989 roku.

Porównując naszą politykę historyczną z politykami historycznymi naszych sąsiadów, o Żydach już nawet nie wspominając, na myśl przychodzi jedno słowo klucz: dysproporcje. Dysproporcje wiedzy na temat tego, jak postępowano w okupowanej Polsce wobec obywateli polskich nieżydowskiego pochodzenia, bo świat zna jedynie martyrologię Żydów, nawet Niemcy nie mają pojęcia o rozmiarach zbrodni dokonywanych przez ich dziadków na tych terenach. Dysproporcja honoru, dysproporcja troski o swoich męczenników. Niemieckie i ukraińskie elity, choć doskonale wiedzą, że Wehrmacht czy UPA to łajdacy i zwyrodniali często mordercy, starają się dbać o ich godny pochówek i jeśli tylko się da, rehabilitują ich, budują im legendy o zwykłym żołnierskim losie.

Nasz błąd

W budowaniu naszej polityki historycznej popełniamy błąd wynikający z lęku wobec państw ościennych. Chcielibyśmy, aby budowane przez nas muzea, miejsca pamięci stanowiły także centra wspólnej refleksji z dawnymi wrogami, miejsca pojednania. Posłowie PiS obiecują, że jeśli wygrają wybory, to wybudują Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej oraz Centrum Prawdy i Pojednania. Trzeba docenić takie deklaracje, bo warto budować pokój, jednak do tanga trzeba dwojga. Ani Ukraińcy, ani strona żydowska, ani niemiecka często nie chce ustalania wspólnych wersji ze stroną polską. Owszem, próby są, toczą się rozmowy, były próby wspólnych podręczników historii ze stroną niemiecką, ale przychodzą momenty, gdy trzeba powiedzieć „non possumus", a taką asertywność strona polska w relacjach międzynarodowych ma wyjątkowo słabo wyćwiczoną.

W pamięci ofiar często jest bowiem tak, że nie tyle szuka się tego, co łączy, i na próżno czeka się na skruchę drugiej strony, ile dochodzi do wyeliminowania oponenta z własnego pola doświadczenia. Pojawia się opozycja międzygrupowa. Następuje negatywne wartościowanie drugiej strony, w miejscu antagonizmu obronnego pojawia się antagonizm zaczepny. Obserwujemy to aktualnie w relacjach z Ukrainą. Nie można się tego bać ani obarczać poczuciem winy.

Po to mamy politykę historyczną, by móc się nią odwinąć, gdy ktoś bezczelnie nas atakuje i przekracza kolejne granice. Obserwujemy u siebie negatywne zainteresowanie symbolami i bohaterami obcej grupy? Mamy do tego prawo, mamy prawo czuć emocjonalną niechęć do tych, którzy mówią o „polskich obozach śmierci" lub wywieszają banderowskie proporce na kijowskich urzędach.

> W POLITYCE PAMIĘCI CZĘSTO JEST TAK, ŻE NIE TYLE SZUKA SIĘ TEGO, CO ŁĄCZY, I NA PRÓŻNO CZEKA SIĘ NA SKRUCHĘ DRUGIEJ STRONY, ILE DOCHODZI DO WYELIMINOWANIA OPONENTA Z WŁASNEGO POLA DOŚWIADCZENIA.

Ze świadomości historycznej wywodzą się korzenie ideowe, te z kolei są podstawą do budowania postaw i wyborów politycznych. W XXI wieku historia stała się jednym z najważniejszych pól rywalizacji między państwami. To nie tylko nauka o przeszłości, ale również element bezpieczeństwa informacyjnego, dyplomacji i budowania międzynarodowego prestiżu. Polska nie może pozwolić sobie na bierność. Potrzebuje przemyślanej, odpowiedzialnej i długofalowej polityki historycznej, opartej na faktach, szacunku dla prawdy oraz trosce o dobro wspólne.

eprasa.pl 850b49e09b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Wściekłość Stalina, czyli operacja (anty)polska NKWD

30 lipca 1937 r. szef NKWD wydał rozkaz nr 00447, w którym zarządzał masową likwidację „elementów antysowieckich”. 11 sierpnia 1937 r. ten sam Nikołaj Jeżow sygnował kolejny rozkaz, o numerze 00485, nakazujący „całkowitą likwidację polskich siatek szpiegowskich”. Był to sygnał do rozpoczęcia operacji (anty) polskiej NKWD, w której – do końca 1938 r. – represjonowano na terenie ZSRS ponad 200 tys. Polaków, a zamordowano ponad 111 tys.

„Mnie i męża aresztowali, a dziecko, chłopiec trzynastoletni, został się sam bez żadnej opieki na ulicy” – wspomina Maria Bukowska-Krasowska. Jej męża, Michała Krasowskiego, rzemieślnika z Mińska, NKWD oskarżyło w śledztwie o „szpiegostwo” na rzecz Polski i po „przyznaniu się” do powiązań z duchowieństwem rozstrzelało 9 listopada 1937 r. Maria trafiła do łagru, a syn Edward do zakładu poprawczego.

Już na początku 1937 r. Jeżow poinformował Stalina o podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej, mimo iż nie istniała od... 1921 r. W sierpniu 1937 r. rozszerzono listy „podejrzanych” o ich rodziny, zgodnie z sowiecką zasadą odpowiedzialności zbiorowej. Dzieci skazanych zostały „uwięzione w obozach albo koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie”, a „dzieci karmione piersią kierowane razem ze skazanymi matkami do obozów, skąd po osiągnięciu 1–1,5 roku przenoszone do domów dziecka i żłobków”.

Ogrom represji dotknął wówczas także inne narody ZSRS, ale – jak podkreślił rosyjski historyk Nikołaj Iwanow (ze zlikwidowanego przez Putina w 2022 r. Stowarzyszenia „Memoriał”) – to Polacy byli „pierwszym narodem ukaranym”. Skąd ta kara? Stalin był wściekły nie tylko za przegraną w 1920 r., ale za brak podatności Polaków na czerwoną propagandę. Nasi rodacy byli bowiem odporni na sowiecki narodowościowy eksperyment. W polskich skupiskach na Białorusi i Ukrainie nie wypaliły oddane w ręce polskich komunistów rady wiejskie (sielsowiety). Na panewce spalił też pomysł dwóch „autonomicznych” jednostek administracyjnych: to powstały w 1925 r. Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego na Wołyniu (tzw. Marchlewszczyzna), a w 1932 r. Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego w obwodzie mińskim (tzw. Dzierżyńszczyzna). Mimo dopuszczenia polskojęzycznej prasy i szkolnictwa Polacy nie ulegli sowietyzacji.

Dlatego trzeba było nas zlikwidować. Wystarczyło polskie miejsce urodzenia, nazwisko o polskim brzmieniu lub wyznanie. Z tego powodu jako Polaków mordowano także Białorusinów, Litwinów, Rosjan, Ukraińców i Żydów. Zarządy regionalne NKWD, aby spełnić wymagania „centrali”, aresztowały czasem przypadkowych ludzi.

Przyznaniu się do fikcyjnych zarzutów służyły tortury. Następnie tzw. trójka lub dwójka kwalifikowała oskarżonych do pierwszej kategorii (rozstrzelanie) lub drugiej (więzienia, łagry), a listy skazanych przesyłano do Moskwy. Tam tzw. albumy oskarżonych podpisywali Jeżow i prokurator Andriej Wyszyński – ten od reguły: „Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”.

Amerykański historyk Terry Martin ustalił, że w czasie Wielkiego Terroru Polak mieszkający w ZSRS miał 31 razy większą szansę być rozstrzelanym, niż wynosiła średnia dla innych grup narodowościowych.

eprasa.pl 850b49e09b

Gdy władza nie chce pamiętać



Proj. K. Karnkowski

Stwierdzenie, że działania przedstawicieli obecnej władzy bardzo często wykraczają poza schemat najbardziej nawet brutalnej bieżącej walki politycznej nie jest przesadnie odkrywcze. Dodanie, że wiele decyzji i zaniechań, wypowiedzi i przemilczeń premiera i jego współpracowników można uznać za antypolskie, jest publicystycznie nośne, lecz przez to przez wielu odbierane jako propagandowe. Niestety jednak, w bardzo wielu aspektach polityki ekipy Donalda Tuska uprawomocnia tak mocne sądy, a **ostatnie dni** przyniosły kolejną porcję argumentów i uzasadnień – zarówno w podejściu do historii, jak i teraźniejszości. O współczesności piszemy bardzo dużo, więc tym razem skupmy się na polityce historycznej w jej najbardziej obecnie palącym aspekcie.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl 850b49e09b

11 lipca obchodziliśmy kolejną rocznicę masakry polskiej ludności Wołynia dokonanej rękami ich zatrutych nienawistną ideologią UPA ukraińskich sąsiadów. Ta zbrodnia powróciła na dobre do polskiej pamięci narodowej. Zauważmy, że działo się to często wbrew politykom, a czasem w wyniku działań grup, którym tak naprawdę wołyńska tragedia przestała być obojętna dopiero wtedy, gdy Ukraina zaczęła uwalniać się z postsowieckich wpływów. Mało kto lub zgoła nikt z tych ludzi nie wspominał o krwawej niedzieli, gdy Polska wspólnie z Ukrainą, rządzoną jeszcze przez Wiktora Janukowycza, organizowała radosne, wspólne święto piłki nożnej – Euro 2012. O Wołyń nie upominali się wówczas również rządzący. Agresja Rosji na naszego wschodniego sąsiada uczyniła temat jeszcze bardziej niewygodnym, a jednak stopniowo zyskiwał on należną pozycję w społecznej świadomości. Choć dziś wielu radykałów zarzuca PiS uciekanie od tematu, trzeba przypomnieć, że choćby dokończenie kultowego dla nich filmu Wojciecha Smarzowskiego nie byłoby możliwe, gdyby swoim mecenatem nie objęła go rządzona wówczas przez Jacka Kurskiego TVP. Intensyfikacja putinowskiej agresji dla wielu polskich polityków była sygnałem, że temat należy odłożyć na lepsze czasy, ponieważ Ukraina staje się żywym i krwawiącym buforem między Zachodem i Polską a wielkorosyjskim imperializmem. Inni uważali, że skoro dochodzi do bezprecedensowego zbliżenia między naszymi narodami, należy przekuć je w trwalszą współpracę, może nawet przyjaźń, jednak ta oparta musi być na fundamencie prawdy. Niestety po drugiej stronie narastał zupełnie inny problem: w poszukiwaniu nowych bohaterów i symboli narodowej tożsamości tak podziwiane w Polsce władze w Kijowie zaczęły sięgać po najgorsze, najciemniejsze postacie ze swojej historii. Zaczęły jednoczyć naród wokół Stefana Bandery i jego akolitów.

> AGRESJA ROSJI NA NASZEGO WSCHODNIEGO SĄSIADA UCZYNIŁA TEMAT JESZCZE BARDZIEJ NIEWYGODNYM.

Zewnętrzni arbitrzy

W ostatnich tygodniach zjawisko to przybrało rozmiary wręcz niszczące dla naszych wzajemnych relacji. Ponieważ jednak ten tekst ma opowiadać o polityce krajowej, nie będę kontynuował opisu działań i motywacji strony ukraińskiej, skupiając się na specyficznej reakcji przedstawicieli polskiego obozu rządowego. Choć – i tu ostatni raz spójrzmy na samą Ukrainę – wiele tłumaczyć może fakt, że polityka Kijowa jest dziś zorientowana przede wszystkim na Niemcy, więc i dla Niemiec, kosztem Polski, bardzo wygodna. Od początku wojny politycy Platformy oskarżali PiS o prorosyjskość, a Radosław Sikorski wraz z Romanem Giertychem szli najdalej, powielając rosyjskie przekazy o aspirowaniu rządu Mateusza Morawieckiego do udziału, wraz z Rosją i Węgrami, w rozbiorze Ukrainy. Jednak, gdy prezydent Karol Nawrocki ostro sprzeciwił się upamiętnieniu przez Wołodymyra Zełenskiego „bohaterów UPA", a politycy PiS i otoczenie Nawrockiego nagłośniło i skrytykowało przekazanie Kijowowi rakiet „Patriot", politycy KO zaczęli powielać przekaz o nadmiernej „proukraińskości" poprzedników. Równocześnie jednak w swoich wypowiedziach premier i szef MSZ postawili znak równości między akcją prezydenta Ukrainy i reakcją jego polskiego odpowiednika, honorowanie zbrodniarzy i obronę polskiej pamięci sprowadzając do niepoważnej kłótni niepoważnych polityków, do której obaj (i Tusk, i Sikorski) mają zdrowy i równy, „europejski" dystans.

> TEGOROCZNE OBCHODY ROCZNICY RZEZI WOŁYŃSKIEJ PRZYPADŁY NA BARDZO TRUDNY I WRAŻLIWY MOMENT NASZYCH RELACJI WZAJEMNYCH.

„Radosław Sikorski wbił szpilę prezydentom Polski i Ukrainy" – donosi, jak się zdaje, z satysfakcją, Onet. – Dziękuję prezydentom Polski i Ukrainy za to, że podczas szczytu NATO w Ankarze tak intensywnie starają się rozwiązać problem, który sami stworzyli – komentował Sikorski spotkanie obu głów państw w Turcji. – Mieliśmy świadomość od samego początku, że aktywni tu będą nacjonalistyczni wariaci po obu stronach – stwierdza Donald Tusk, odnosząc się do sporu o UPA. Nominalnie i formalnie polski premier ustawia się poza

eprasa.pl 850b49e09b

sporem, w którym jego państwo jest stroną, a pamięć historyczna zobowiązaniem.

Szukanie symetrii

Tegoroczne obchody rocznicy rzezi wołyńskiej przypadły na bardzo trudny i wrażliwy moment naszych relacji wzajemnych. Reprezentujący nasz kraj w Kijowie Piotr Łukasiewicz w swoim przemówieniu nie uciekał od przypomnienia powodu obchodów, w których uczestniczył, jednak jego słowa bardziej chyba uszanować chciały wrażliwość ukraińską niż polską. Jak inaczej rozumieć ten fałszywy, świadomy swojej asymetryczności symetryzm? – Pochylając głowę nad polskimi ofiarami przemocy ukraińskiej na Wołyniu, nie mogę nie wspomnieć o ukraińskich ofiarach przemocy państwa polskiego na terenach dawnej II Rzeczypospolitej, przed wojną i w jej trakcie. To wszystko, co działo się w trakcie II wojny światowej, było straszne i niepotrzebne. Nie tworzę jednak symetrii ani nie stawiam znaku równości między liczbami i jakością cierpień. Mówię po prostu, że pamiętamy i musimy pamiętać o przeszłości, i o tym, co w tej przeszłości było wstydliwe i niegodne. Nie wynosimy na sztandary sprawców tamtej przemocy – powiedział. Może więc za wcześnie, by przedstawiciel nawet tej władzy pouczył Polaków, że byli sami sobie winni, ale już zaczyna szukać w nich winy. Jakby przedwojenne napięcia narodowościowe uzasadniały tak wynaturzony poziom przemocy, z którym polska ludność zderzyła się latem 1943 roku. Ten przekaz oderwany od emocji społecznych rezonuje i powiela się jeszcze radykalniej w wypowiedziach osób z intelektualnego zaplecza władzy. I tak Sławomir Sierakowski po raz kolejny odmawia uznania zbrodni UPA za ludobójstwo, a Magdalena Środa wraz z Adamem Michnikiem protestują przeciwko ekshumacjom na Wołyniu. Jednak kłopoty zaczęły się wcześniej. Jednym z najbardziej wyrazistych przykładów wycofania państwowego wsparcia dla projektu związanego z polską pamięcią historyczną jest Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Chełmie. Jeszcze w listopadzie 2023 roku resort kultury przyznał miastu 180 mln zł na budowę muzeum oraz Centrum Prawdy i Pojednania im. Lecha Kaczyńskiego. Po zmianie władzy decyzja została jednak cofnięta przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Chełm wcześniej zaangażował już własne środki w przygotowanie inwestycji i rozpoczęcie pierwszych prac, ale utrata centralnego finansowania postawiła cały projekt pod znakiem zapytania. Późniejsze zapowiedzi stworzenia placówki jako filii Muzeum Wojska Polskiego nie rozwiązały podstawowego problemu, czyli braku zabezpieczonych pieniędzy na realizację inwestycji szacowanej na około 200 mln zł.

> KŁOPOTY WŁADZY Z HISTORIĄ TO NIE TYLKO WOŁYŃ. PODOBNY CHARAKTER MA SPÓR WOKÓŁ MUZEUM POLSKIEGO W RAPPERSWILU.

Nie tylko Wołyń

Oczywiście kłopoty władzy z historią to nie tylko Wołyń. Podobny charakter ma spór wokół Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Państwo polskie za czasów ministra Piotra Glińskiego kupiło w 2022 roku hotel Schwanen za około 115 mln zł z zamiarem przeznaczenia go na stałą siedzibę muzeum działającego w Szwajcarii od 1870 roku. Po zmianie rządu odstąpiono jednak od realizacji tego planu. Budynek ma służyć Instytutowi Pileckiego, działalności wystawienniczej i komercyjnej, ale nie jako właściwa siedziba Muzeum Polskiego. W efekcie tysiące poloników nadal pozostają w magazynach, a nieruchomość kupiona specjalnie dla muzeum została pozbawiona swojej pierwotnej funkcji. Nie doszło więc do sprzedaży obiektu, lecz do faktycznej utraty szansy na stworzenie trwałego centrum polskiej pamięci historycznej w Szwajcarii. Do tej samej kategorii można zaliczyć rezygnację z programu sprowadzania do kraju szczątków zasłużonych Polaków pochowanych za granicą. Przygotowywano między innymi repatriację generała Mariana Kukiela, byłego premiera Janusza Jędrzejewi-

> POLSKI PREMIER USTAWIA SIĘ POZA SPOREM, W KTÓRYM JEGO PAŃSTWO JEST STRONĄ, A PAMIĘĆ HISTORYCZNA ZOBOWIĄZANIEM.

eprasa.pl 850b49e09b

cza, dyplomaty Tytusa Filipowicza i oficera wywiadu Witolda Langenfelda. Po zmianie władzy Kancelaria Prezesa Rady Ministrów poinformowała jednak, że program nie będzie kontynuowany. Odpowiedzialność za opiekę nad grobami została rozproszona między kilka instytucji a IPN, choć może finansować renowacje i zabezpieczenie miejsc pochówku, nie ma kompetencji do samodzielnego prowadzenia repatriacji. W praktyce oznacza to, że groby postaci ważnych dla historii II Rzeczypospolitej i emigracji pozostają za granicą często bez pewności trwałej opieki.

GROBY POSTACI WAŻNYCH DLA HISTORII II RZECZYPOSPOLITEJ I EMIGRACJI POZOSTAJĄ ZA GRANICĄ, BEZ PEWNOŚCI OPIEKI.

Zaniechanie, zaoranie

W kraju przykładem ograniczenia wsparcia jest także Muzeum „Pamięć i Tożsamość" w Toruniu. W 2024 roku resort kultury odmówił przekazania dodatkowych ponad 13 mln zł potrzebnych do ukończenia siedziby i wystawy stałej. Nie jest to wprawdzie przypadek całkowitego odcięcia finansowania, ponieważ placówka wcześniej otrzymała znaczne środki publiczne, jednak decyzja zahamowała dokończenie konkretnego projektu i stała się elementem szerszego sporu o państwowe wspieranie instytucji zajmujących się polską historią i tożsamością. Podobną politykę Tusk z Platformą prowadził również przed 2015 rokiem. Wśród przykładów z wcześniejszych rządów Donalda Tuska szczególne miejsce zajmuje Fawley Court w Wielkiej Brytanii. Posiadłość ta przez dziesięciolecia była jednym z najważniejszych ośrodków polskiej emigracji, mieściła szkołę, internat, kościół oraz muzeum z cennymi dokumentami i pamiątkami historycznymi. W 2009 roku została sprzedana przez księży marianów prywatnemu nabywcy. Państwo polskie nie było właścicielem obiektu i formalnie go nie sprzedało, ale nie zdecydowało się również na jego przejęcie ani uratowanie. W rezultacie Polonia utraciła ważny materialny symbol swojej obecności w Wielkiej Brytanii, a historyczny ośrodek przestał pełnić swoją dotychczasową funkcję. Do katalogu zaniechań z okresu rządów PO – PSL można również włączyć problemy z finansowaniem Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce oraz wieloletnie odwlekanie budowy siedziby Muzeum Historii Polski. Projekt ostrołęcki nie otrzymał w 2014 roku dofinansowania z funduszy norweskich, a ministerialny zespół zakwestionował nawet zapotrzebowanie na powstanie takiej placówki. Z kolei Muzeum Historii Polski, choć formalnie działało od 2006 roku, przez lata nie mogło doczekać się własnej siedziby, ponieważ kolejne decyzje inwestycyjne odkładano z powodów finansowych. Mamy wreszcie spory o ekspozycję w Muzeum II WŚ i umniejszanie w nim roli polskich bohaterów, połączone ze spychaniem opowieści o naszym kraju na dalszy plan. Dodajmy do tego spory wokół Instytutu Pileckiego, przez pewien czas kierowanego przez skrajnie germanofilskiego prof. Krzysztofa Ruchniewicza.

Wszystkie te przypadki różnią się pod względem prawnym i własnościowym. Czasem chodziło o cofnięcie wcześniej przyznanej dotacji, czasem o zmianę przeznaczenia kupionej nieruchomości, rezygnację z programu państwowego albo bierność wobec sprzedaży obiektu przez prywatnego właściciela. Łączy je jednak szerszy problem – za rządów Platformy państwo polskie niespecjalnie interesuje się swoją historią, często jest też obojętne wobec jej fałszowania i zakłamywania. Co gorsza, choć to już inny temat, wiele instytucji samorządowych opanowanych przez PO chętniej nawiązuje do obcych, przede wszystkim oczywiście niemieckich, tradycji niż polskiego dziedzictwa takich miast jak Wrocław czy Gdańsk. Równocześnie, choć ostatecznie nie podjęto próby przeforsowania tego pomysłu, Platforma od lat powraca do przejętego od postkomunistycznej lewicy planu likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej, któremu zmniejszono budżet. IPN był też karany za start Karola Nawrockiego w wyborach – przez kilka miesięcy stał się głównym celem działań NIK paraliżujących częściowo prace Instytutu. Choć premier jest historykiem z wykształcenia, z historią jest mu wybitnie nie po drodze.

ZA RZĄDÓW PLATFORMY PAŃSTWO POLSKIE NIESPECJALNIE INTERESUJE SIĘ SWOJĄ HISTORIĄ.

eprasa.pl 850b49e09b

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Dla wielu działaczy i sympatyków antykomunistycznego podziemia był to moment szoku. Publiczne gesty przyjaźni Adama Michnika wobec gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz kampania usprawiedliwiania twórcy stanu wojennego wywołały poczucie rozczarowania i zdrady. Część środowisk opozycyjnych zaczęła wtedy inaczej patrzeć na przemiany okrągłego stołu oraz rolę późniejszego redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Punktem zwrotnym w postrzeganiu tej relacji stała się wspólna wizyta Michnika i Jaruzelskiego w Paryżu. Refleksjami na temat znaczenia tego wydarzenia dzielił się w „Tygodniku Solidarność” red. Piotr Semka w tekście opublikowanym w nr. **19 (190) 8 maja 1992 roku**. Przypominamy go z okazji 45-lecia naszego pisma.

Obaj chcieli porozumienia, lecz przeciwstawiła ich sobie historia...

Paryskie gody redaktora M.

Piotr Semka

Tego jeszcze nad Sekwaną nie było! Triumfalny powrót Jaruzelskiego do Paryża na fali promocji tomu wspomnień. Generał wraca, ale nie sam. Come back Jaruzelskiego żyruje jego dawny więzień – Adam Michnik.

DZIŚ, GDY MINĄŁ JUŻ ZGIEŁK PRASOWYCH SENSACJI, POCHYLAMY SIĘ NAD tekstem rozmowy Jaruzelskiego z Michnikiem. To lektura ważna, tylko przyszłość jest pewna, przeszłość ciągle się zmienia, głosił sowiecki dowcip.

Hamletowski dylemat?

Zacznijmy od refleksji nad stanem wojennym. Jaruzelskiemu odpowiada rozmowa tylko o jednym, najbardziej błyskotliwym jego momencie. Godzina decyzji o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Hamletowski dylemat: głos sumienia czy historyczna konieczność? Wewnętrzna anarchia czy interwencja Rosjan? Istotnie była to najdramatyczniejsza decyzja w jego życiu. Ale sprowadzanie zła całego stanu wojennego do tej jednej nocy budzi pytanie: a co z całym złem tego, co zdarzyło się później? Co z dniem powszednim machiny terroru, miesiącami, w których wydział Piotrowskiego szykował mord na Popiełuszce, gdy Urban szykował propagandowe akcje, gdy bito ludzi na komisariatach? **Szefem tego państwa terroru był właśnie Jaruzelski, o tym on milczy.**

Bo to już nie takie romantyczne, bo to już nie Olimp, gdzie waży się decyzje o „mniejszym złu”. Czy zakatowanie Przemyka było „mniejszym złem”? Czy w obawie przed wejściem Rosjan rozstrzelano ludzi w Lubinie w 1982 roku?

To Jaruzelski swą decyzją z 13 XII nauczył tysiące ubeków i zomowców, że nie mają wyboru. Jaruzelski broni lat stanu wojennego, twierdząc, że *pomijając deformacje i świństwa,* rozpoczęto wtedy reformę gospodarczą. – Nie pozwolę sobie i mojej formacji odebrać takich właśnie założeń.

Cóż, kiedy osąd historii polega na tym, że o ocenie epoki decydują „deformacje i świństwa” lub, mówiąc wprost, bezprawie i skrytobójstwo. I dlatego w Niemczech bojkotuje się tych, *którzy nie pozwolą Hitlerowi i jego generacji odebrać wybudowania autostrad.*

Jaruzelski chętnie przyrównuje, stawia znaki równości, wyłapuje paradoksy. Lepiej było być dysyden-

eprasa.pl 850b49e09b



14 Tygodnik Solidarność 19 (198) 8 maja 1992

Obaj chcieli porozumienia, lecz przeciwstawiła ich sobie historia...

Paryskie gody redaktora M.

Tego jeszcze nad Sekwaną nie było! Triumfalny powrót Jaruzelskiego do Paryża na fali promocji tomu wspomnień. Generał wraca, ale nie sam. *Come back* Jaruzelskiego żyruje jego dawny więzień — Adam Michnik.

Dziś, gdy minął już zgiełk prasowych sensacji, pozostały się nad tekstem różnowy Jaruzelskiego z Michnikiem. To lektura ważna, tylko przysłoni jest pewna, przesłanie tragie się zmienia, głosi sowiecki dowcip.

Hamletowski dylemat?

Zacznijmy od refleksji nad stanem wojennym. Jaruzelski odpowiada rozmowa tylko o jednym, najbardziej otyskiwanym jego momencie. Godzinę decyzji o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Hamletowski dylemat: głos sumienia-czy historyczna konieczność? Wewnętrzna walka czy interwencja Rosjan? Istotnie była to najdramatyczniejsza decyzja w jego życiu. Ale sprowadzanie zła całego stanu wojennego do tej jednej nocy budzi pytanie: a co z całym złem tego, co zdarzyło się później? Co z całym powszednim mechanizmem terroru, mieszczącym, w latach wydział Piotrowskiego szykował mord na Popiełuszce, gdy Urban szykował propagandowe akcje, gdy lotnictwo kontrolowało? Ilu ludzi w Lubinie w 1982 roku?

To Jaruzelski swą decyzją z 13 XII nauczył tysiące obelżywe i zamówców — iż nie mają wyboru.

Jaruzelski broni tez stanu wojennego twierdząc, iż pomijając ideologie i dwuletnie rozpoczęto wtedy reformę gospodarczą. — *Nie pozwolę sobie i mojej formacji pobrać takich własnie zabiegów.*

Cóż, kiedy osąd historii polega na tym, iż o ocenie epoki decydują „deformacje i świństwa" lub, mówiąc wprost, bezprawie i skrytobójstwo. I dlatego, w Niemczech bojkotuje się tych, *którzy nie pozwolą Hitlerowi i jego generacji odebrać wybudowania autostrad.*

Jaruzelski chętnie przyrównuje, stawia znaki równości, wytapuje paradoksy. Lepiej było być dysydentem (paczki z Zachodu, opieka kościoła) niż komunistą przed wojną.

Jaruzelski budzi niesmak. Zawsze próbowałem zrozumieć jego sytuację. **Widziałem w nim człowieka słabego, porażonego wspomnieniem deportacji i dlatego przekonanego o niemożności stawienia oporu Rosji.** Lęku tego nie miał choćby Gomułka, grając *va banque* wobec Chruszczowa w 1956 r.

Rządy Jaruzelskiego w stanie wojennym przyniosły śmierć kilkudziesięciu ludzi, złamane życiorysy. Liczyłem więc na pewne wyciszenie. Coś z postawy Lwa Kopielewa, który rozliczając się ze swym partyjnym życiorysem, wyznał: *Tego grzechu nie da się wymazać. Można tylko próbować z nim żyć. Możliwie jak najgodniej.*

Nic z tego wyciszenia nie sposób znaleźć u Jaruzelskiego. **Trudno o coś obrzydliwszego niż Generał pyszny.** Pouczający w Paryżu o zagrożeniach demokracji. Właśnie on.

Dwie bratnie dusze

Gdy czyta się rozmowę Jaruzelskiego z Michnikiem, odnosi się wrażenie, jakby po latach spotkały się dwie bratnie dusze. Zły los długo je trzymał na dystans; co więcej, obaj partnerzy mieli o sobie zdemonizowane pojęcie. Po latach uzgadniają to, co ich różniło i odnajdują to, co wspólne.

Obaj chcieli porozumienia, ale przeciwstawiła ich sobie historia. Jaruzelski nie dostrzegał chęci dialogu w KOR. Michnik postrzegał partię jako monolit, demonizując generała. Gdy powstała „S", obaj spoglądali nań z troską. Michnik poparł ten ruch, Jaruzelski mu się przeciwstawił.

Ale obaj z niepokojem patrzyli na pannę „S". W rozmowie Jaruzelskiego z Michnikiem ruch Solidarność z lat Wielkiego Karnawału 1980–1981 to żywioł, niekiedy urzekający, ale bezwładny, nieświadomy „szerszych uwarunkowań". Groźny żywioł, żądający, mający roszczenia, wyciągający ręce do rządu, który według Jaruzelskiego *nie dawał, bo nie miał.* **I Adam Michnik niczym romantyczny bohater. Walczy o wyzwolenie ludu, ale czuje się z tłumu wyobcowany.**

Już wtedy dostrzega w ruchu wrogów demokracji, ale pociesza się, iż da sobie z nim radę metodami demokratycznymi.

Wciąż priorytetem jest walka z komunizmem – zaś *o katolicką naukę społeczną, endeckość będzie miał czas martwić się potem.*

Jaruzelski długo broni się przed okiełznaniem tej złowrogiej masy o złych skłonnościach. Twierdzi, iż jeszcze w Grudniu 1981 r. możliwe było porozumienie. W końcu obowiązek zwycięża.

eprasa.pl 850b49e09b

Gdy Michnik po latach patrzy na Solidarność, jej obraz podobny jest do obrazu Polski, który dziś spędza sen z powiek publicystom „Gazety Wyborczej”. Solidarność lat Karnawału już wtedy miała być zadżumiona antysemityzmem, jaskiniowym antykomunizmem.

Trzeba dużo złej woli, by ferować tak jednoznaczne wyroki. Owszem, upiory pojawiały się na marginesie ruchu (czasem podsyłane przez rozmówcę pana Adama), owszem, trafiali się „prawdziwi Polacy” – ale nigdy tego typu akcenty nie stanowiły istoty ruchu Solidarności. Ruchu, który wyzwalał wówczas w ludziach to, co najlepsze, nie to, co najgorsze. Przypisywanie dziś tamtej Solidarności „populistycznego nacjonalizmu”, to projekcja dzisiejszych fobii na ówczesne lata.

To subtelna sugestia, iż groźniejsze od schodzącego ze sceny komunizmu już wówczas były demony polskiej duszy. Demony dostrzegane także przez generała Jaruzelskiego, który, niestety, nie mógł zdecydować się na wcześniejszy „sojusz mądrych”, zdolny do poskromienia ciemnogrodu groźnego zarówno wtedy, jak i dziś.

Przydzielanie odpowiedzialności

Stąd już blisko do stwierdzenia Michnika: *Za ustanowienie stanu wojennego również mój obóz jest odpowiedzialny. Dlatego, że nie umieliśmy stworzyć języka dialogu. Jeśli jest kompromis, który załamuje się, to są za to odpowiedzialni wszyscy.* Otóż wypada stwierdzić, iż nie wszyscy.

W czyim imieniu Michnik dzieli się odpowiedzialnością z Jaruzelskim za stan wojenny?

W czyim imieniu przeprasza za zakłócenia w dialogu „gołego tyłka z batem” (przepraszam za określenie, ale powtarzam klasyka). Michnik, tak otwarty na dialog z byłymi prześladowcami, traci spokój, gdy styka się z obecnymi przeciwnikami. Dzisiejsi krytycy flirtu z bonzami PRL to według Michnika ludzie odreagowujący kompleksy stanu wojennego (bo wstyd im, że nie byli na pierwszej linii frontu jak Michnik).

Dzisiejsi i wczorajsi przeciwnicy

Świat dzisiejszych przeciwników Michnika zaludniają postacie amoralne, pozbawione rozterek. Jeśli byli pracownicy kancelarii zwierzają się Jarosławowi Kurskiemu, to jasne, iż trzeba ostrzec czytelnika, iż czynią to z niskich pobudek, z nagiej żądzy władzy. Nie mają dylematów, nie wybierają „mniejszego zła”.

Do tego zdolni są jedynie wczorajsi przeciwnicy: Wojtek Jaruzelski, Jurek Urban czy Olek Kwaśniewski. Dla Polityka pamięć zbiorowa to kapitał lub przekleństwo. W pamięci zbiorowej Polaków Jaruzelski kojarzy ię z machiną stanu wojennego. Wywiad z Jaruzelskim ma tę pamięć zbiorową poddać erozji. „Uwspółcześnić” i zniuansować w świetle dzisiejszych linii podziału. Zetknąłem się z opinią, iż Michnik to największe rozczarowanie ruchu Solidarności. Bo Michnik był symbolem. Kochano go, gdy odmówił w 1984 roku wyjścia z celi, głuchy na zachęty do emigracji wysłannika ONZ. Propozycja była atrakcyjna – honorowe stypendium Narodów Zjednoczonych. Mimo tysiąca racjonalnych uzasadnień Michnik powiedział „nie”.

Odmówił, bo chciał zaprzeczyć relatywności dobra i zła. Bo odrzucał „świadomą konieczność”. Bo negował wyrafinowaną argumentację, w której nic nie jest jednoznaczne. Odmówił wreszcie, gdyż wyjściem z celi przyznałby racje tym, którzy przyzwolenie złu motywowali również tysiącem racjonalnych okoliczności, często racjonalniejszych od tych, które w zanadrzu miał wysłannik ONZ.

Dziś Michnik bardzo łatwo racjonalizuje, relatywizuje. Świadomie czy nie rozpoczyna korektę oceny przeszłości. Na razie za stan wojenny wspólnie winna jest i „S”, i PZPR. Kto będzie winien za rok, za dwa?

U NAS KOMUNIZM NIE ULEGA SKOMPROMITOWANIU. WYNAJDOWANYCH JEST CORAZ WIĘCEJ DLAŃ USPRAWIEDLIWIEŃ.

W Niemczech z konsekwencją przypomina się, iż pamięć o istocie nazizmu zapobiec ma powtórzeniu się zła.

U nas komunizm nie ulega skompromitowaniu. Co więcej wynajdowanych jest coraz więcej dlań usprawiedliwień. I dlatego mechanizmy i jego istota mogą powrócić; niekoniecznie w marksistowskim przebraniu.

Właśnie dlatego trudno nie komentować tego typu tekstów. I nie chodzi tu o atak na jakąś formację polityczną. Kiedyś jednym tchem wymieniano nazwiska Kuroń – Michnik. To, że dziś tylko jedno z nich kojarzy się z byłymi bonzami PRL, nie jest przypadkiem.

Pozostaje smutek, iż – ot tak! – za pół ceny wyprzedaje to, co w dziedzictwie „S” było najcenniejsze. Przekonanie, iż coś jest złe, a coś dobre; iż pewnych rzeczy robić nie wolno.

eprasa.pl 850b49e09b

XXXV FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU

Architektura nowego porządku w czasach globalnych zmian

Przed nami jubileuszowe XXXV Forum Ekonomiczne w Karpaczu, które odbędzie się w dniach 8–10 września 2026 roku. Tegoroczne hasło przewodnie: „Architektura nowego porządku – stabilność w czasach zmian" wprost odzwierciedla skalę wyzwań, przed którymi stoimy.

Konrad Wernicki



Fot. arch. organizatora

Wojna na Ukrainie, napięcia na Bliskim Wschodzie oraz transformacja cyfrowa wymuszają wypracowanie nowych mechanizmów bezpieczeństwa – zarówno militarnego, jak i socjalnego czy energetycznego.

Światowe autorytety i debata o przyszłości człowieka

Wysoka ranga wydarzenia przyciąga do Karpacza wybitnych ekspertów, których głos kształtuje współczesną debatę publiczną. Wśród zaproszonych gości specjalnych znajduje się m.in. amerykański geopolityk i publicysta Hal Brands, profesor Johns Hopkins University i komentator Bloomberg Opinion, który przeanalizuje dynamicznie zmieniający się układ sił na arenie międzynarodowej.

Z perspektywy prospołecznej niezwykle istotny będzie głos prof. Dirka Oschmanna, autora bestsellerowych publikacji poświęconych współczesnym podziałom społecznym, który dotyka problemów nierówności we współczesnej Europie. O humanitarnym wymiarze globalnych konfliktów opowie z kolei Sera Koulabdara, prezeska organizacji Legacies of War. Do Karpacza zawita również Mads Nissen, wielokrotny laureat World Press Photo, którego poruszające, zaangażowane społecznie fotografie będzie można zobaczyć na specjalnej wystawie.

Obok geopolityki kluczowym tematem będzie rewolucja technologiczna i jej wpływ na rynek pracy. Wprowadzenie sztucznej inteligencji (AI) i rozwój technologii kwantowych to procesy, które muszą uwzględniać podmiotowość pracownika i ochronę praw społecznych. O wyzwaniach na styku technologii i etyki dyskutować będą m.in. prof. Nicole Alexander (była dyrektorka globalnego marketingu Meta, obecnie wykładająca na Columbia University oraz New York University) oraz prof. Asim Khwaja z Harvard Kennedy School. Z kolei o perspektywach nowej gałęzi gospodarki – ekonomii kosmicznej – opowie włoski dziennikarz Emilio Cozzi z „Forbes Italia".

Ponad 500 debat o gospodarce, zdrowiu i regionach

Program XXXV Forum Ekonomicznego obejmuje ponad 500 wydarzeń merytorycznych podzielonych na panele tematyczne. Z punktu widzenia interesu publicznego i praw pracowniczych kluczowe znaczenie będą miały panele poświęcone zrównoważonemu rozwojowi, gospodarce oraz społeczeństwu.

Tradycyjnym i najważniejszym punktem otwarcia konferencji będzie prezentacja Raportu SGH i Forum Ekonomicznego, który w kompleksowy sposób diagnozuje stan gospodarki Europy Środkowo-Wschodniej. Głównym Partnerem Merytorycznym Forum pozostaje Szkoła Główna Handlowa w Warszawie.

Więcej informacji oraz formularz zgłoszeniowy można znaleźć na oficjalnej stronie internetowej: www.forum-ekonomiczne.pl.

eprasa.pl 850b49e09b

W kogo uderzy LEX SZARLATAN?

Projekt ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, która ma rzekomo uderzyć w oszustów medycznych i osoby bez kwalifikacji, może okazać się fatalny w skutkach dla tych, którzy pomagają ludziom z problemami zdrowotnymi, takich jak dietetycy, zielarze, naturopaci. Wiele wskazuje na to, że to nie pierwsza taka próba, w której obecny rząd pod przykrywką szlachetnych idei przemyca działanie, które może przynieść **więcej szkód niż pożytku**. Wystarczy przypomnieć choćby casus wprowadzania do szkół edukacji zdrowotnej, kiedy mieliśmy do czynienia z bardzo podobnym mechanizmem. Projekt ustawy niedawno został przyjęty przez Sejm, trafił do Senatu, w którym prawdopodobnie zostanie przepchnięty. Cała nadzieja w głosie rozsądku z Pałacu Prezydenckiego.

Leszek Galarowicz



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 850b49e09b

Od przyszłego roku edukacja zdrowotna (w nieco zmienionym kształcie) ma być przedmiotem obowiązkowym w polskich szkołach. Pamiętamy doskonale, że Barbara Nowacka pod przykrywką ładniej brzmiącej nazwy chciała wprowadzić to, o co bezskutecznie walczyła lewica, czyli edukację seksualną w duchu lewicowo-liberalnym. Przez 8 lat rządów PiS nie było na to szans, ale kiedy do władzy doszła KO, wreszcie otworzyła się na to szansa, choć Nowacka zdawała sobie sprawę, że prawo nie pozwala jej na wprowadzenie edukacji seksualnej jako odrębnego przedmiotu. Trzeba więc było wymyślić zajęcia, w których znalazłoby się miejsce dla edukacji seksualnej. Tak powstała edukacja zdrowotna. To miało zapewnić Barbarze Nowackiej bezproblemowe wprowadzenie lewicowej ideologii do polskich szkół. Dziś na podobnej zasadzie rząd podejmuje próbę przeforsowania ustawy, która według oficjalnej wersji ma uderzyć w oszustwa, dezinformację i praktyki pseudomedyczne, a w istocie może dotknąć osoby, które naprawdę pomagają innym ludziom, ale w oparciu o metody niekonwencjonalne, często mniej znane i rzadziej stosowane w naszym kraju, albo w te osoby, które zamiast aplikować pacjentom chemiczne leki, próbują zadziałać mniej inwazyjnymi ziołami.

Słowa zmieniają rzeczywistość

Nie do końca wiadomo, kto wprowadził do publicznego obiegu nazwę „lex szarlatan", ale można sądzić, że nie stało się to przez przypadek. Język ma wielkie znaczenie w kształtowaniu opinii publicznej. A skoro w nazwie lansowanego przez rząd projektu jest słowo „szarlatan", to od razu ustawia debatę publiczną w taki sposób, aby w praktyce zablokować możliwość dyskutowania nad jej sensownością. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby sprzeciwić się walce z medycznymi szarlatanami? Chyba tylko szaleniec. Słownik Języka Polskiego podaje, że szarlatan to „oszust i manipulator, który udaje eksperta w jakiejś dziedzinie i wykorzystuje łatwowierność ludzi do czerpania korzyści majątkowych". A skoro tak, to nie ma żadnego powodu, aby nad ustawą w ogóle dyskutować. Problem polega na tym, że już na poziomie potocznej nazwy mamy do czynienia z manipulacją, bo ustawa wcale nie jest skierowana tylko przeciw szarlatanom i znachorom.

Ochrona przed oszustwami medycznymi?

Problem proponowanych przez koalicję rządową zmian nie sprowadza się oczywiście tylko do kwestii terminologicznych. Ustawa ma być odpowiedzią na problem niesprawdzonych terapii, które mogą odciągać pacjenta od tradycyjnego leczenia. Głównym założeniem jest ochrona zdrowia i życia pacjenta przed oszustwami medycznymi i dezinformacją zdrowotną. Pozornie nie ma się do czego przyczepić. Ustawa wprowadza definicję dezinformacji medycznej jako publiczne rozpowszechnianie lub promowanie (w celu osiągnięcia korzyści) informacji o metodach „niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną, zagrażających życiu lub zdrowiu". Już tu pojawiają się wątpliwości, czy na przykład niektóre metody, jak biorezonans magnetyczny, też będą ścigane jako propagowanie dezinformacji i szkodzenie pacjentowi. Nowe przepisy mają również chronić pacjentów przed zniechęcaniem do leczenia, co na przykład w przypadku leczenia onkologicznego może przynieść tragiczne dla pacjenta skutki. Ponadto projekt znacznie rozszerza uprawnienia rzecznika praw pacjenta, który m.in. zyska prawo do wydawania natychmiastowych nakazów wstrzymania szkodliwej działalności jeszcze przed zakończeniem postępowania. Zakłada też olbrzymie kary finansowe do 1 miliona złotych za „naruszanie zbiorowych praw pacjenta".

Czy lex szarlatan zniszczy medycynę naturalną?

Co nie jest specjalnie zaskakujące, projekt zyskał poparcie niemal całej koalicji rządzącej. Jedynie 5 posłów PSL-u było przeciw jej przyjęciu. Przeciw zagłosowali posłowie Konfederacji. Posłowie PiS w większości wstrzymali się od głosu, choć w debacie publicznej wielu z nich w istocie krytykuje założenia projektu. Warto przyjrzeć się najważniejszym zastrzeżeniom i wątpliwościom krytyków projektu, aby zrozumieć, w czym tkwi istota problemu. Podstawowy zarzut wobec projektu ustawy opiera się

USTAWA O PRAWACH PACJENTA I RZECZNIKU PRAW PACJENTA ZOSTAŁA NA POCZĄTKU LIPCA PRZYJĘTA PRZEZ SEJM. TERAZ PROJEKT ZOSTAŁ PRZEKAZANY DO SENATU, KTÓRY MA 30 DNI NA ZAJĘCIE STANOWISKA.

eprasa.pl 850b49e09b

na przekonaniu, że pod pretekstem szlachetnych intencji nowy pomysł rządu dąży do zniszczenia medycyny naturalnej, ziołolecznictwa, naturopatii i zjawisk pokrewnych. Potwierdzają to słowa dr. Piotra Rubasa, kaliskiego lekarza praktykującego w Niemczech: „Jest to ewidentnie próba zablokowania medycyny naturalnej, na czym oczywiście będą korzystać wielkie korporacje farmaceutyczne. Są to rozwiązania nieznane w żadnym innym kraju europejskim". Przeciw proponowanym zmianom mocno protestuje Polska Izba Gospodarcza Naturopatów. Jej zdaniem projekt ustawy jest zagrożeniem nie tylko dla tysięcy specjalistów, ale też milionów pacjentów, którzy poszukują alternatyw dla konwencjonalnego leczenia. Sprzeciw budzi fakt, że urzędnicy będą mogli nakładać bardzo wysokie kary na praktyków medycyny naturalnej, jeśli uznają, że „naruszają oni zbiorowe prawa pacjentów". Pytanie tylko, w jaki sposób mogą oni stwierdzić, że te działania naruszają ów interes.

Nieprecyzyjna definicja pseudomedycyny

Poseł Konfederacji Krzysztof Bosak podkreśla, że definicja praktyk pseudomedycznych jest zbyt szeroka, niejasna i nieprecyzyjna: „Pod pretekstem walki z oszustwami (co jest oczywiście słusznym i szczytnym celem), Ministerstwo Zdrowia chce zniszczyć cały sektor medycyny naturalnej i alternatywnej. W bardzo szerokiej i niejasnej definicji «praktyk pseudomedycznych» zmieści się każdy zielarz, a nawet dietetyk, masażysta czy autor internetowego artykułu o domowych sposobach leczenia. Wyłącznie od rozsądku i dobrej woli rzecznika praw pacjenta będzie zależało, jak bardzo rozszerzy interpretację tej definicji i których zawodów zakaże". Nawet jeśli uznamy słowa posła za nieco na wyrost, nie można zamknąć oczu na jego zastrzeżenia.

Środowiska krytyczne wobec projektu ustawy często podnoszą argument olbrzymich kompetencji, które dzięki niej zyskuje rzecznik praw pacjenta. Jeśli prawo weszłoby w życie, mógłby on prowadzić postępowania nie tylko wobec zarejestrowanych placówek medycznych, ale też wobec podmiotów i osób niewykonujących zawodu medycznego. Zyskuje on też prawo do ścigania medycznej dezinformacji. Pytanie, czym jest owa dezinformacja medyczna i kto ma decydować, co jest, a co nie jest dezinformacją. Wystarczy przypomnieć okres pandemii, kiedy za dezinformację była uważana każda narracja, która odbiegała od oficjalnej. Często z rzekomą ochroną przed dezinformacją kryje się kneblowanie debaty publicznej. Nie wiadomo, czy stałoby się tak w przypadku przyjęcia lex szarlatan, ale jest to prawdopodobne.

> NIE MA WĄTPLIWOŚCI, ŻE OCHRONA PACJENTÓW PRZED RÓŻNEJ MAŚCI HOCHSZTAPLERAMI, KTÓRZY NIE MAJĄ ŻADNEJ WIEDZY MEDYCZNEJ I BEZPODSTAWNIE OBIECUJĄ SZYBKIE EFEKTY SWOICH CUDOWNYCH KURACJI, WYMAGA UPORZĄDKOWANIA.

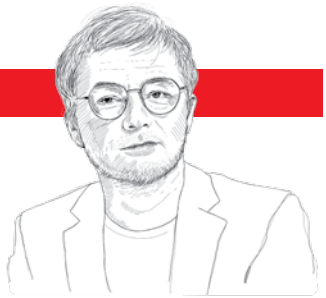
Co zrobi prezydent Karol Nawrocki?

Ustawa o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta została na początku lipca przyjęta przez Sejm. Teraz projekt został przekazany do Senatu, który ma 30 dni na zajęcie stanowiska, czyli prace nad nim w wyższej izbie parlamentu powinny się zakończyć na początku sierpnia. Po zakończeniu etapu senackiego trafi ona na biurko prezydenta, który może ją podpisać, zawetować albo skierować do Trybunału Konstytucyjnego. Na pytanie o ruch w tej sprawie ze strony prezydenta z Kancelarii otrzymałem dość ogólnikową odpowiedź, że „zgodnie z art. 122 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej prezydent RP podejmuje decyzję w sprawie ustawy po jej uchwaleniu przez parlament i przekazaniu do podpisu przez marszałka Sejmu".

Nie ma wątpliwości, że ochrona pacjentów przed różnej maści hochsztaplerami, którzy nie mają żadnej wiedzy medycznej i bezpodstawnie obiecują szybkie efekty swoich cudownych kuracji, wymaga uporządkowania. Jednak lex szarlatan pod przykrywką szlachetnych intencji może okazać się batem na środowisko medycyny naturalnej również przez oddanie zbyt dużej władzy rzecznikowi praw pacjenta. Dla jego krytyków, którzy określają go też mianem „Lex Big Pharma", jest on kolejnym krokiem faworyzowania wielkich koncernów farmaceutycznych.

eprasa.pl 850b49e09b

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



PiS ma powód, by się dzielić

Jan Wróbel

Naturalną koleją rzeczy na pierwszy plan boju pisowsko-pisowskiego wysunęły się zarzuty personalne. Zagłuszają one fakt, że PiS rzeczywiście pozostaje od dłuższego czasu rozdarte ideowo w sprawach ważnych.

Po pierwsze, sprawa stosunku Polaków do Ukrainy. Prawica, która sama o sobie chętnie mówi: „niepodległościowa", w oczywisty sposób opowiada się za prawem narodów do niepodległości. A już szczególnie wtedy, kiedy agresorem jest Rosja. Dyskusja na temat walorów „polityki transakcyjnej" czy romantycznej postawy rządu i prezydenta w pamiętnym 2022 r. to inna sprawa niż dylemat, po czyjej stać stronie: Moskwy czy narodu bohatersko z nią walczącego. W tym sensie PiS zachowało się jak najbardziej prawicowo, wspomagając – i nakłaniając innych do wsparcia – wojenne i dyplomatyczne wysiłki Kijowa.

Tyle że wahadło nastrojów społecznych idzie w stronę przeciwną. I uruchomiło w części PiS to, co jest w prawicowym DNA akurat paskudne – nacjonalizm z dolnej półki, karmiący prymitywne instynkty.

Dzisiaj partia Jarosława Kaczyńskiego naprawdę stoi na skrzyżowaniu, co tak dobrze pokazała nerwowa reakcja prezesa na deklarację własnego kandydata na premiera. Pamiętamy: „Trzeba zmusić Unię Europejską do tego, żeby zaprzestać na ten moment finansowania w jakikolwiek sposób zbrojeń na Ukrainie i odbudowy Ukrainy, dopóki Ukraina nie wejdzie na ścieżkę wartości proludzkich". Wstrzymać finansowanie zbrojeń to skazać Ukrainę na klęskę w wojnie z Rosją. Wzruszy na to ramionami niejeden pisowiec, ale dla innego powyższa wypowiedź jest po prostu zdradą.

Po drugie – kwestia modernizacji. PiS uważało, dochodząc do władzy w 2015 roku, że jest w stanie lepiej niż rząd PO unowocześnić polską gospodarkę. Bo przełamie układy i układziki, bo nie da się skrępować wpływom niemieckim i brukselskim, bo uprości prawo podatkowe, specjalnie komplikowane przez ludzi obalonego układu. Straciło jednak dynamikę działania. Okazało się, że łatwiej przekopać kanał na Zalewie Wiślanym, niż ożywić sieć drobnych nieraz przedsięwzięć biznesowych i rozwojowych. Wielka skala potrzebuje specustaw i specrządzenia specręką centrum. Sieć wymaga stabilnego systemu prawnego i (jakkolwiek nie brzmiałoby to bałamutnie) dobrego klimatu dla bardzo zróżnicowanych inwestycji prywatnych. Prawicowe jest budowanie ram dla autonomicznych wobec rządu działań, tyle że elektoratowi łatwiej jest podrzucać slajdy dotyczące wielkich budów socjalizmu, tfu, rządu patriotycznego, niż jakiś „dobry klimat".

> WSTRZYMAĆ FINANSOWANIE ZBROJEŃ TO SKAZAĆ UKRAINĘ NA KLĘSKĘ. WZRUSZY NA TO RAMIONAMI NIEJEDEN PISOWIEC, ALE DLA WIELU TAKIE PODEJŚCIE DO SPRAWY JEST PO PROSTU ZDRADĄ.

Wreszcie Donald Trump. Jakaś część polskiej prawicy wybacza mu wszystko, bo tłamsi on polityczną poprawność, część natomiast nie ufa prezydentowi USA, który bombarduje Iran, by Izrael miał dobrze.

Prawdziwe rozdarcia. Przez lata przemilczane.

eprasa.pl 850b49e09b

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO



Katarzyny i Pauliny pomysły-umysły

Sławomir Jastrzębowski

Skarpetki z tej kupki koło pralki, co były nie do pary, to poparowałem, choć nie było łatwo. W takie kłębuszki zwinąłem i wsadziłem do szuflady. Mam to udokumentowane, filmik i kilka zdjęć. Zgoda, trochę pojedynczych zostało, ale nie od razu Kraków wciągał skarpety, a postęp w wygładzaniu kopca gigantyczny. Kupiłem specjalny zeszyt, w którym wszystko zapisuję z datami i godzinami. Kupiłem też taki przenośny dysk, na który zgrywam filmiki z komórki z dziewiczych dla mnie działań, żeby było wszystko udokumentowane, jak należy. Na przykład: „Środa, godzina 17.13. Wyjmowanie ze zmywarki, układanie w szafkach kubków, szklanek, talerzy, garnków oraz sztućców. Wkładanie do zmywarki brudnych naczyń. Włączenie zmywarki. Czas – 48 minut.” Dalej: „Czwartek. Odkurzenie salonu odkurzaczem przenośnym, odkurzenie mebli ściereczką antystatyczną, podnoszenie figurek z kredensu, dokładne czyszczenie, w zagłębieniach także i odkładanie na swoje miejsce (odkładanie na swoje miejsce bardzo ważne dla spokoju domowego). Czas – 1 godzina 38 minut”. Oczywiście filmiki i zdjęcia zrobione, oczywiście zgrane na dysk. Nie będę Państwa zanudzał wszystkimi moimi domowymi czynnościami, które podjąłem po zachęcie pani niegdyś minister do spraw równości Katarzyny Kotuli, a obecnie pełnomocnika rządu do spraw równości.

Ponieważ pani Kotula jest od równości, to oświadczyła, że nie ma i nie będzie żadnej równości w sprawie wieku, w którym na emeryturę przechodzą i przechodzić mają kobiety i mężczyźni. Tu nadmienię, że trochę takim dysonansem trąciło, jak przedstawicielka Lewicy, która nie przywiązuje specjalnej uwagi do tego, jakie ma wykształcenie (chciała robić doktorat, nie będąc magistrem), zaczęła na serio mówić o płciach. Tak jakby płcie istniały i jakby to nie był tylko konstrukt społeczny, a przecież Anna Maria Żukowska, też z Lewicy, mówiła wyraźnie, że dzieci na przykład mogą rodzić wszyscy, mężczyźni też, no jeśli mają ochotę czy coś. No dobra, bo ja znowu te dygresje niepotrzebnie, wracajmy do pani Kotuli. Otóż pani niegdyś minister uważa, że kobiety powinny przechodzić szybciej na emeryturę, bo sprzątają w domu. Logiczne. Pani Katarzyna przytoczyła nawet dane skądś, że kobiety średnio sprzątają i gotują w domu 37 godzin w tygodniu, a faceci, jeśli w ogóle, to dużo, dużo mniej. Nie spierając się co do istoty, że kobiety powinny wcześniej wypoczywać na emeryturze, przyznać należy, że argumentacja sprzątająca jest świeża i pouczająca. Wiadomo też, jacy są ludzie: są podli, więc wypowiedź pani niegdyś minister została przyjęta różnie: niektórzy się śmiali, inni wyszydzali, ale nie brakowało takich, którzy wprost drwili.

> DZIĘKI PANI KATARZYNIE JA I ZAPEWNE INNI SAMCE POŻEGNALIŚMY SIĘ Z MACZYSTOWSKĄ DUMĄ, ZAŁOŻYLIŚMY FARTUSZKI I ZAJĘLIŚMY SIĘ DOMEM.

Nieważne. Trzeba myśleć pozytywnie i wyciągać wnioski prak-

eprasa.pl 850b49e09b

tyczne, kiedy kobieta na stanowisku mówi o przyszłości nas wszystkich, a na przykład w tym przypadku mojej. Dzięki pani Katarzynie ja i zapewne inni samce pożegnaliśmy się z maczystowską dumą, założyliśmy fartuszki (tego proszę nie rozpowiadać) i zajęliśmy się domem. W odpowiednim momencie zgłosimy się do ZUS z dokumentami i zażądamy wcześniejszej emerytury o kilka miesięcy, może tygodni, zależy kto, ile czasu dzierżył miecz mopa i może to udowodnić. Pani Kasiu, dziękuję, posprzątać?

A teraz trochę też o drugim umyśle nietuzinkowym, któremu w prostocie mojej i zadziwieniu moim także jestem wdzięczny. O umyśle jeszcze bardziej rządowym, bo aktualnej pani minister Pauliny Hennig-Kloski od klimatu i środowiska. Otóż pani Paulina obwieściła, że „Powołaliśmy pierwsze lasy społeczne w Polsce, to lasy ochronne wokół Wrocławia". Następnie doprecyzowała dla prymitywnych szyderców, że lasy społeczne to nie są zwykłe lasy, tylko są to „lasy z wiodącą funkcją społeczną, w których lubimy spędzać czas, uprawiać aktywność fizyczną, nordic walking, jeździć na rowerze, ale także po prostu spędzać tu miło weekend z rodziną, edukując dzieci, będąc blisko przyrody. Ale to także bardzo ważne lasy, które pełniąc funkcję regulatora, oczyszczając powietrze, gromadząc wodę, przeciwdziałają erozji, pełnią wiele funkcji przyrodniczych, które zwłaszcza w obszarze dużych aglomeracji mają ogromną wartość".

ZGŁOSIMY SIĘ DO ZUS Z DOKUMENTAMI I ZAŻĄDAMY WCZEŚNIEJSZEJ EMERYTURY O KILKA MIESIĘCY, MOŻE TYGODNI, ZALEŻY KTO, ILE CZASU DZIERŻYŁ MIECZ MOPA.

Tu trzeba być sprawiedliwym i zwrócić uwagę, że jednak – zdaje się – prekursorką lasów społecznych, która zwróciła uwagę na fenomen obszarów zadrzewionych, była wiceminister klimatu i środowiska Urszula Zielińska, która po prostu zachwyciła się lasami, przechodząc razem ze swoim krótkim przemówieniem do historii. Oto jej jakże ważne w tym kontekście słowa: „Dla mnie las ma niesamowitą liczbę, pełni niesamowitą liczbę różnych funkcji. Kiedy o tym myślę, a zwykle o tym nie myślę, a jak zaczynam o tym myśleć, ile różnych funkcji pełni, potrafi pełnić, to jest przepiękne". Tak pięknie właśnie powiedziała i wzruszająco!

Ponieważ mam sporo znajomych we Wrocławiu, telefonowałem pogratulować z entuzjazmem, że nie mieli lasów, a teraz mają, i to społeczne, ale spotkałem się z brakiem zrozumienia. Oni tam twierdzą, że te lasy były, są i będą, i nie za bardzo wiedzą, o co tej pani minister właściwie chodzi. Takie gbury!

Jeden z mieszkańców Wrocławia kpił wprost z pani Pauliny, że wymyśliła lasy, i kompletnie nie rozumiał, że teraz lasy będą oczyszczać powietrze, gromadzić wodę, a z tym „przeciwdziałają erozji" to już takie trochę hermetyczne, czyli że nikt nie wie, o co jej chodzi. Początkowy opór wobec szczytnej idei „lasów społecznych" Pauliny Hennig-Kloski wydaje się poniekąd zrozumiały, bo wielu ludziom trudno jest zaakceptować całkiem nowe rozwiązania, nawet jeśli służą społecznie społeczeństwu nie za pieniądze, tylko społecznie. To znaczy może ktoś tam za pomysł czy tablice wziął parę nędznych milionów, jak pani minister kultury Marta Cienkowska brała za spacery dendrologiczne, znaczy po lesie. Wiadomo, wszystkim się nie dogodzi, a ludzie bywają podli i zawistni.

PONIEWAŻ MAM SPORO ZNAJOMYCH WE WROCŁAWIU, TELEFONOWAŁEM POGRATULOWAĆ Z ENTUZJAZMEM, ŻE NIE MIELI LASÓW, A TERAZ MAJĄ, I TO SPOŁECZNE.

Przy całym entuzjazmie i akceptacji tkwi jednak w sercu mym cień obawy, że... Katarzyna i Paulina coś jeszcze wymyślą...

eprasa.pl 850b49e09b

Ani WIELKA, ani ZJEDNOCZONA



Osiedle mieszkaniowe w Middlesbrough – części gminy Middlesbrough, obszaru zabudowanego Teesside i doliny Tees; północno-wschodnia Anglia

Fot. Adobe Stock

Pociąg na północny wschód Anglii powoli **oddala się** od Wielkiej Brytanii, którą najchętniej pokazuje się światu. Za plecami zostaje Londyn: ministerialny język, muzealna elegancja, wieże uniwersytetów i miękka angielszczyzna ludzi, którzy od pokoleń wiedzą, gdzie postawić akcent i kiedy zamilknąć.

Piotr Biegasiewicz

Za oknem zaczyna się inna tonacja: niższa, chłodniejsza, bardziej metaliczna. Middlesbrough, Redcar, Stockton, Billingham, Hartlepool, Darlington. W oddali Tees nie płynie jak pocztówkowa rzeka. Pracuje. Albo pamięta, że kiedyś pracowała.

To nie jest Anglia z serialu BBC. Raczej ta, która przez dekady robiła dla kraju najcięższą robotę: stal, chemię oraz porty.

Nawet język brzmi tu inaczej. Akcent Teesside jest twardy, chropowaty, niecierpliwy; jakby sam język nie chciał udawać, że pochodzi z salonu. Dla ucha przyzwyczajonego do szkolnego angielskiego może być

eprasa.pl 850b49e09b

z początku trudny. Ale jest w nim coś uczciwego. Jakby głos nosił w sobie pył zakładów, wiatr znad rzeki i niechęć do eleganckich kłamstw.

Tam, gdzie kraj miał mięśnie

Teesside nie było ubogim dodatkiem do brytyjskiej historii. Przez długi czas było jednym z miejsc, w którym kraj miał swoje mięśnie. Redcar dawał stal. Billingham i ICI dawały chemię, Middlesbrough cement i nawozy, technologie XX wieku. Rzeka Tees była krwiobiegiem: dla surowców, statków, eksportu, energii, pieniędzy i pracy.

Dawny przemysł nie był rajem. Huta była miejscem pyłu, hałasu, chorób, wypadków, robotników umierających zbyt wcześnie. Nie chodzi więc o nostalgię za kominami. Chodzi o pytanie, dlaczego razem z brudnym przemysłem zdemontowano także lokalną godność, wspólnotę i pewność jutra.

Zakład jako miasto w mieście

Duży zakład przemysłowy w Teesside nie był po prostu pracodawcą. Był instytucją, wokół której układało się życie.

Młody człowiek nie musiał zaczynać od pustki. Wiedział, gdzie pracował ojciec, gdzie pracował wujek, gdzie poszedł sąsiad po szkole i gdzie można było nauczyć się fachu bez udawania kogoś innego. Wiedział, że gdzieś stoi brama, przez którą można przejść do świata dorosłych.

Był też wspólny zegar. Kiedy kończyła się zmiana, całe ulice wiedziały, kto wróci do domu, kiedy otworzy się pub, kiedy ruszy autobus, kiedy w kuchni trzeba postawić kolację. Huta, port czy zakład chemiczny regulowały rytm rodzin, sklepów, klubów, boisk, rozmów. Praca nie kończyła się na bramie. Rozchodziła się po mieście jak fala.

W Billingham nazwa ICI była czymś w rodzaju lokalnego nazwiska zbiorowego. Określała nie tylko zatrudnienie, ale także pozycję miasta w narodowej gospodarce. Jej ślady były w domu, szkole, klubie, na boisku i w rodzinnych opowieściach.

Huta w Redcar działała podobnie. Była jednym z tych miejsc, dzięki którym ludzie mogli powiedzieć: jesteśmy potrzebni. Człowiek zniesie ciężką pracę, jeśli wie, że jego zmęczenie ma sens.

> INWESTYCJA MOŻE STANĄĆ NA ZIEMI REGIONU, A MIMO TO OMINĄĆ JEGO MIESZKAŃCÓW. MOŻE WZIĄĆ ZIEMIĘ, HISTORIĘ I CIERPIENIE, A LUDZIOM POZOSTAWIĆ ROLĘ STATYSTÓW W OPOWIEŚCI O ROZWOJU.

Redcar 2015

W 2015 roku Redcar Steelworks zatrzymało produkcję, a wraz z nią skończył się pewien sposób opowiadania o pracy, mieście i własnej wartości. Po niemal stu latach pracy jeden z najważniejszych zakładów stalowych w regionie zamilkł. Około 1700 osób straciło zatrudnienie.

Ale liczba, choć ważna, nie mówi wszystkiego.

Gdy stary przemysł znikał, nikt nie zostawiał po nim pustej przestrzeni na długo. Wchodziły w nią inne formy zatrudnienia, często zbyt kruche, by można było oprzeć na nich życie.

Najbardziej widać to w logistyce. Amazon jest tu dobrym przykładem, bo nie daje się łatwo sprowadzić do karykatury. W Tees Valley firma ma centrum operacyjne w Darlington i Stockton-on-Tees, a w 2026 roku rozpoczęła budowę nowej stacji dostawczej w Stockton za około 40 milionów funtów, zapowiadając około 100 miejsc pracy.

Dawna huta produkowała stal, ale przy okazji wzmacniała wspólnotę. Nowa logistyka zajmuje się przede wszystkim przepływami: paczek, norm, zmian i ludzi, których łatwo przesunąć z jednego grafiku do drugiego.

Kiedy demontaż staje się chorobą

Oficjalne angielskie wskaźniki ubóstwa lokalnego pokazują, że bieda nie kończy się na portfelu. Obejmuje pracę, edukację, zdrowie, bezpieczeństwo, mieszkanie i środowisko życia.

Dane są brutalne. W 2025 roku Hartlepool i Middlesbrough znalazły się wśród miejsc o najwyższym odsetku osób wykluczonych z rynku pracy: 24,7% i 23,3% ludności w wieku produkcyjnym. Najmocniej widać to jednak w zdrowiu. W Middlesbrough prawie sześć na dziesięć małych obszarów statystycznych znajduje się w najgorszej dziesiątce procent kraju pod względem zdrowia i niepełnosprawności. W edukacji i kwalifikacjach Middlesbrough ma 44,4% takich obszarów w najgorszym decylu.

Te liczby nie opisują chwilowego kryzysu, a miejsce, w którym bieda przestała być wydarzeniem, a stała się krajobrazem.

eprasa.pl 850b49e09b

Teesworks, czyli przyszłość na starych ruinach

Teesside jest też laboratorium przyszłości. Na dawnych terenach Redcar Steelworks powstaje Teesworks: wielki projekt oczyszczenia i ponownego zagospodarowania poprzemysłowej ziemi po hucie. To ogromny teren po starym przemyśle, dziś łączony z Teesside Freeport, portem, zieloną energią, morską energetyką wiatrową, wychwytywaniem dwutlenku węgla i nową produkcją. Oficjalna opowieść mówi o tysiącach miejsc pracy, nowych branżach i powrocie przemysłowego znaczenia regionu.

W broszurach wygląda to jak odkupienie: ziemia po hucie ma stać się przestrzenią odnowy. Tam, gdzie był wielki piec, mają pojawić się turbiny, niskoemisyjna energia, nowe hale, nowe nabrzeża, nowe kontrakty.

I dobrze. Nikt rozsądny nie powinien tęsknić za toksycznym powietrzem i piecami.

Inwestycja może stanąć na ziemi regionu, a mimo to ominąć jego mieszkańców. Może wziąć ziemię, historię i cierpienie, a ludziom pozostawić rolę statystów w opowieści o rozwoju.

Teesworks jest testem. Nie tylko dla Teesside, ale dla całego państwa, które lubi mówić o wyrównywaniu szans. Niezależny przegląd projektu z 2024 roku nie stwierdził korupcji ani bezprawności, ale wskazał na problemy z przejrzystością, zarządzaniem i wartością dla pieniędzy publicznych. To wystarczy, by zapytać, czy nowy przemysł odbuduje region, czy tylko przykryje jego ruiny bardziej nowoczesnym językiem.

Sprawiedliwa transformacja nie kończy się na nowym szyldzie nad starym gruzem. Jej miarą jest to, czy ludzie, którzy zapłacili za poprzedni model gospodarki, dostaną realne miejsce w następnym.

Solidarność bez litości

Teesside odsłania pęknięcie, którego nie widać w atlasie. Zjednoczone Królestwo pozostaje zjednoczone w nazwie, ceremoniale i konstytucyjnej formule. Nie zawsze jednak w zdrowiu, pracy, długości życia, szansach dzieci i prawie do mówienia własnym głosem bez podejrzenia, że brzmi się gorzej, niżej, mniej odpowiednio.

W kraju klasowych podziałów pogarda rzadko przychodzi z krzykiem. Częściej działa subtelnie: w grymasie, w uprzejmej radzie, by mówić spokojniej. A przecież w twardym akcencie Teesside nie ma niczego do poprawienia. Jest w nim historia miejsca, które przez lata słyszało, że ma pracować ciężko i siedzieć cicho.

Litość nad przegranymi jest wygodna, bo nie wymaga żadnej zmiany. Trudniejsze jest uznanie długu wobec miejsc, które przez dekady pracowały na cudzą potęgę, a potem zostały same: z rachunkiem, z pustką po zakładach i z pouczeniem, że za własne porażki mogą winić tylko siebie.

W praktyce oznacza to prawo do pracy, która pozwala zbudować stabilne życie, do zdrowia, które nie zależy od kodu pocztowego, i do głosu, którego nie trzeba wygładzać, by został usłyszany.

TEES PŁYNIE PRZEZ KRAJOBRAZ, KTÓRY ZNA ZBYT WIELE OBIETNIC. PO JEDNEJ STRONIE DAWNE TERENY PRZEMYSŁOWE, PO DRUGIEJ NOWE SZYLDY INWESTYCYJNE.

Rzeka Tees

Na końcu zostaje rzeka. Tees płynie przez krajobraz, który zna zbyt wiele obietnic. Po jednej stronie dawne tereny przemysłowe, po drugiej nowe szyldy inwestycyjne. Dalej portowe światła, wiatr od morza, autobusy oraz ludzie wracający z pracy.

Nad rzeką spotykają się nowe tablice i stare wspomnienia. Nikt nie prosi o litość. Chodzi tylko o to, by nie nazywać porażką ludzi, którzy przez dekady byli warunkiem cudzego sukcesu.

Teesside pokazuje, że kraj można osłabić nie tylko zamknięciem huty, lecz także językiem, który przez lata uczy ludzi, że utrata pracy, wspólnoty i własnego głosu jest po prostu ceną postępu.

KRAJ MOŻNA OSŁABIĆ NIE TYLKO ZAMKNIĘCIEM HUTY, LECZ TAKŻE JĘZYKIEM, KTÓRY PRZEZ LATA UCZY LUDZI, ŻE UTRATA PRACY, WSPÓLNOTY I WŁASNEGO GŁOSU JEST PO PROSTU CENĄ POSTĘPU.

eprasa.pl 850b49e09b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Rząd złych nastrojów

Okres wakacyjny to moment, w którym na ogół poprawiają się nastroje społeczne. Tym razem jest jednak inaczej. Najnowszy raport Centrum Badania Opinii Społecznej pokazuje, że pogorszeniu uległy niemal wszystkie wskaźniki dotyczące sytuacji w kraju, w tym przede wszystkim oceny sytuacji politycznej i prognozy poziomu życia respondentów.

W normalnych okolicznościach takie badanie powinno być dzwonkiem alarmowym dla rządu. Tyle że normalnych okoliczności już dawno nie mamy, a koalicja konsekwentnie ignoruje kolejne sygnały. Zamiast jakiejkolwiek refleksji słyszymy więc, że wszystko jest w najlepszym porządku. W efekcie rządowa propaganda coraz bardziej rozmija się z rzeczywistością.

Polacy żyją w niej jednak na co dzień. Być może właśnie dlatego ich nastroje wyraźnie kierują się ku pesymistycznym scenariuszom. Z danych CBOS-u wynika, że ponad połowa (51 proc.) negatywnie ocenia sytuację polityczną w kraju. To wzrost aż o 10 pkt proc. w porównaniu z poprzednim badaniem. Jednocześnie jest to najgorszy wynik od przejęcia władzy przez Donalda Tuska w grudniu 2023 roku.

Wcześniej CBOS opublikował wyniki badania dotyczące oceny rządu. Wynika z nich, że w lipcu aż 41 proc. respondentów deklarowało, iż są przeciwnikami rządu. Tylko 29 proc. wskazało, że są jego zwolennikami. Odsetek negatywnych ocen władzy rośnie od kilku miesięcy.

Można oczywiście stwierdzić, że są to tylko sondaże, sytuacja gospodarcza jest oceniana lepiej niż polityczna, a większość ankietowanych wciąż pozytywnie określa własne warunki materialne. Tyle że Polacy wcale nie muszą uważać, że żyje im się dramatycznie źle, żeby uznać, iż państwo zmierza w niewłaściwym kierunku. Zwłaszcza gdy nałożymy na to ogromne oczekiwania elektoratu strony rządzącej. W polityce wyborcy często głosują nie według tego, jak żyje im się dzisiaj, lecz według tego, jak wyobrażają sobie jutro. Jeżeli pojawia się lęk przed przyszłością, to problemy zaczynają pracować przeciwko władzy.

Koalicja obiecywała przecież, że będzie inaczej: sprawniej, normalniej i jakoś tak lepiej. Państwo miało zostać odblokowane, instytucje naprawione, polityczne konflikty wygaszone, a z Polską mieli się liczyć. Jak jest, wszyscy wiemy. Tyle że o ile wyborcy prawicy nie mieli żadnych złudzeń co do Donalda Tuska, o tyle spora część społeczeństwa ponownie mu zaufała. No cóż, może chcącemu nie dzieje się krzywda?

To, co jest ciekawe, to fakt, że na problemach obozu rządzącego wcale nie musi automatycznie korzystać Prawo i Sprawiedliwość, co pokazują ostatnie sondaże. Jeśli więc niezadowolenie społeczne rozlewa się pomiędzy partie znajdujące się poza głównym konfliktem ostatnich dwóch dekad, to polska polityka być może wchodzi powoli w zupełnie nową fazę.

eprasa.pl 850b49e09b

Tak jak ustroje marksistowskie upadły z powodu niewydolności ekonomicznej, tak demokracja liberalna upadnie z powodu **niewydolności kulturowej**. Kultura nie jest przecież kwiatkiem do kożucha, lecz rozszerzonym mechanizmem adaptacyjnym, dzięki któremu społeczeństwo może przetrwać w zmieniającej się rzeczywistości. A skoro demoliberalizm domaga się zrównania wzorców zachowań, myślenia i odczuwania, które sprzyjają przetrwaniu, z tymi, które mu nie sprzyjają, w pewnym momencie trzeba będzie albo go porzucić, albo umrzeć. A umierać nikt przecież nie chce.

Ludwik Pęzioł

WSPOMNIENIE o demokracji liberalnej



Fot. Adobe Stock

Jak będzie wyglądał kolejny ustrój? Nie wiadomo. Może być kopią lub modyfikacją któregoś z wcześniejszych, a może czymś, o czym nikt wcześniej nawet nie pomyślał. Nie jesteśmy w stanie tego przewidzieć. Możemy jednak spróbować wyobrazić sobie, jak za sto, dwieście czy trzysta lat będzie wyglądać wspominana epoka demokracji liberalnej – zobaczyć ją z lotu ptaka: w sposób zamazany, wychwytujący jedynie jej najbardziej barwne i oryginalne (niekoniecznie najważniejsze) cechy. Niektóre z nich zostaną zniekształcone, inne zaś nabiorą ostrości, której dziś nie dostrzegamy, będąc zanurzonymi we własnej epoce.

Wizerunek zamiast duszy

Każda epoka inaczej odpowiada na pytanie, czym jest człowiek. Jedna twierdziła, że składa się z ciała, cienia i imienia, inna – z ciała i nieśmiertelnej duszy, jeszcze inna widziała w nim przede wszystkim przedstawiciela określonej klasy społecznej, a kolejna sprowadzała go

do biologicznego organizmu i świadomości, będącej epifenomenem procesów mózgowych. Aby uświadomić sobie tę zmianę, wystarczy sięgnąć do literatury i sprawdzić, ile miejsca poświęcano poszczególnym „częściom składowym" człowieka.

W epoce demoliberalnej niematerialny pierwiastek duszy zastąpił wizerunek. Człowiek troszczył się mniej o czystość duszy i sumienia, a bardziej o swój obraz w oczach innych, który pomagał mu żyć szczęśliwie lub strącał go w otchłań społecznego odrzucenia. Wizerunek, choć niematerialny, był realny do tego stopnia, że istniał w świadomości większej liczby ludzi niż ci, którzy otaczali daną osobę na co dzień. Skoro człowiek utrzymywał kontakt z tak wieloma ludźmi na odległość, było oczywiste, że widzieli oni przede wszystkim to, co im pokazał. Zwłaszcza w przestrzeni wirtualnej, która wpływała na ich życie równie mocno, a często nawet bardziej, niż najbliższe otoczenie. Przecież również od ludzi oddalonych o setki kilometrów, znających jedynie internetowy wizerunek danej osoby, zależał jej materialny los. Kto potrafił skutecznie zarządzać własnym obrazem, uchodził za człowieka wartościowego.

Dlatego troska człowieka demoliberalnego o własny wizerunek, nieustanne śledzenie reakcji na prawdziwe lub zmyślone dokonania, świadome kreowanie siebie i umiejętne eksponowanie wybranych cech nie były przejawem szaleństwa, lecz logiczną strategią działania.

Mentalność lichwiarsko-handlarska

Demokracja liberalna stworzyła znakomite warunki dla trwania kapitalizmu. Poczucie wolności, jakie system ten dawał ludziom w sferze światopoglądu oraz prawa do przestrzegania bądź odrzucania obyczajów, tworzyło namiastkę równowagi wobec wyzysku w pracy, który mógł wywołać bunt. Nic więc dziwnego, że kapitalizm dzięki demoliberalizmowi zapuścił korzenie jeszcze głębiej niż wcześniej – aż do ludzkiej umysłowości i uczuciowości.

W innych epokach sprowadzenie człowieka do roli rzeczy było zamachem na jego wielowymiarowość i bogactwo człowieczeństwa, nie mówiąc już o tym, że stanowiło afront wobec jego Stwórcy. W demoliberalizmie doszło jednak do procesu, w którym nie tylko stało się to powszechną praktyką, ale ludzie sami zaczęli postrzegać siebie jako towary. Znalazło to odbicie nawet w języku – wystarczy wspomnieć pojęcie „marki osobistej", będącej zresztą podtypem wizerunku.

Nie skończyło się jednak na podzieleniu ludzi na towary bardziej i mniej wartościowe. Ten sposób myślenia przeniknął również do relacji międzyludzkich. Święty węzeł małżeński, a nawet romantyczna miłość zmieniły się w handlową umowę między dwoma podmiotami. Jedna strona dostarcza określonych dóbr (materialnych lub psychologicznych) – druga innych. Wstrzymanie dostaw lub ich niewystarczająca liczba uprawnia do rozwiązania kontraktu i poszukania nowego dostawcy. Nic świętego, nic romantycznego – zwykła transakcja. A każda gospodarka rynkowa prowadzi przecież do rozwarstwienia. Miłość, seks i przyjaźń stawały się udziałem niewielkiej części społeczeństwa, podczas gdy reszta musiała radzić sobie z samotnością. Nic dziwnego, że była ona plagą tamtych czasów.

Kultura autoekspresji

W demokracji liberalnej wszelka wspólnota budziła podejrzenia. To właśnie wspólnotowość obwiniono o wywołanie II wojny światowej, dlatego na piedestale postawiono jednostkę, a silne tożsamości zbiorowe zaczęto systematycznie rozbierać. Poza dwoma wyjątkami. Pierwszym było tzw. społeczeństwo obywatelskie – wspólnota powołana do walki ze wszystkimi innymi wspólnotami. Drugim były wspólnoty tworzone wokół miłośników konkretnych towarów i usług, nawet tak błahych jak siłownie, rowery czy materiały higieniczne, ponieważ leżało to w interesie największych podmiotów gospodarczych.

Przy tak wyolbrzymionym znaczeniu jednostki ludzie starali

W EPOCE DEMOLIBERALNEJ NIEMATERIALNY PIERWIASTEK DUSZY ZASTĄPIŁ WIZERUNEK.

W DEMOKRACJI LIBERALNEJ WSZELKA WSPÓLNOTA BUDZIŁA PODEJRZENIA.

eprasa.pl 850b49e09b

się jak najmocniej podkreślać swoją wyjątkowość. Każdy niezagospodarowany fragment stroju, ciała czy podręcznego urządzenia, który można było wykorzystać do zamanifestowania własnej indywidualności, uchodził za zmarnowaną okazję. Dlatego ludzie tamtej epoki przypominali starannie zaaranżowane sklepowe wystawy.

Epoka bez podłogi

W czasach demokracji liberalnej nic nie było ustalone raz na zawsze i nie istniały żadne oczywistości. Aby to zrozumieć, warto posłużyć się przykładami skrajnymi. We wcześniejszych epokach ludzie również się spierali – co do istnienia i natury Boga, pożądanego modelu społecznego czy tego, co piękne, a co brzydkie – lecz pewne kwestie wydawały się tak oczywiste, że samo ich podważanie uchodziło za szaleństwo. Na przykład to, czy ludzkość w ogóle powinna istnieć. W demokracji liberalnej za uprawnione uznawano twierdzenie, że nie powinna, ponieważ szkodzi przyrodzie. Albo że człowiek jest tym, za kogo się uważa. Albo że lepiej dla ludzi, by się nie narodzili. Albo że lepiej jest nie istnieć, niż istnieć. Nic z tego nie było ostatecznie rozstrzygnięte.

W tamtych dziwnych czasach właściwie każdy spór można było zakończyć magicznym stwierdzeniem, że coś jest „kwestią światopoglądową". Kryła się za tym idea, że każdy ma niezbywalne prawo do własnych przekonań. A nawet więcej – że każdy światopogląd należy traktować z równą powagą. Bez podłogi niczego nie dało się jednak zbudować. Demokracja liberalna była więc epoką ideowej lewitacji, w której rozwój myśli paraliżował brak czegokolwiek pewnego, na czym można byłoby wznieść trwałą konstrukcję.

Czas kłótni

Brak podłogi musiał w naturalny sposób prowadzić do niekończących się sporów na każdy możliwy temat. Człowiek demokracji liberalnej był człowiekiem permanentnej kłótni. Zapewne wszystko to doprowadziłoby do rozlewu krwi, gdyby nie fakt, że spór udało się przenieść do przestrzeni wirtualnej. Na tej nowej „agorze" zwyciężał ten, kto sprytniej i bardziej widowiskowo obraził lub pomówił przeciwnika. Powstała nowa hierarchia: mistrzowie tej sztuki stawali się bożyszczami tłumu, który najwyżej cenił ironię – formę kontrolowanego ujścia agresji, dzięki której system mógł trwać.

Pod względem intelektualnym oznaczało to być może regres wobec wcześniejszych epok, ale jednocześnie stwarzało bufor chroniący przed przemocą fizyczną. Przyklejeni do ekranów telefonów i komputerów ludzie demoliberalizmu upuszczali gniew w sposób mniej szkodliwy dla ciała, choć jednocześnie zatruwali przestrzeń publiczną wszelkimi odmianami głupoty i prymitywizmu.

Gdy czyta się o tamtych czasach, wszystko to wydaje się niewyobrażalne. A jednak tak właśnie było. Czy chcielibyśmy wtedy żyć? Wbrew wyidealizowanemu obrazowi, jaki utrwaliły późniejsze opowieści – z pewnością nie. Ale skoro, wbrew znanej sentencji, historia nie jest nauczycielką życia, to wyłącznie od nas zależy, czy te absurdalne czasy kiedyś powrócą. S

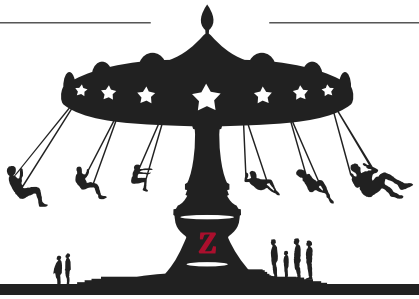
> CZŁOWIEK DEMOKRACJI LIBERALNEJ BYŁ CZŁOWIEKIEM PERMANENTNEJ KŁÓTNI.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl 850b49e09b

KARUZELA BLOGERAMI



GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

ODERWANI OD POLSKI

Można naprawdę kochać Polskę, mieć dla niej mądre rozwiązania gospodarcze, społeczne, można mieć nawet realną wizję budowy jej potęgi w Europie, a jednocześnie być od tej ukochanej Polski oderwanym. Można również robić niemal wszystko, by własne państwo osłabiać, demontować, posłusznie wykonując obce narracje z Berlina czy Brukseli, i być jednocześnie popieranym przez jedną trzecią Polaków. Tu, rzecz jasna, oderwanie od Polski jest wręcz wpisane w polityczne geny partii Donalda Tuska. Gdy dodamy do tego krytyczny wręcz stan państwa i totalne spychanie naszego kraju z politycznej mapy Europy, to zasadne jest postawienie pytania, czym kierują się politycy Prawa i Sprawiedliwości, zajmując się śmiertelną w skutkach wojną o przywództwo, wpływy i jeszcze nie wiadomo co. Nikt nie podważałby zasadności wewnętrznej walki politycznej w partii Jarosława Kaczyńskiego, gdyby sytuacja kraju była stabilna, a rządy sprawowała konkurencyjna, ale z gruntu polska i patriotyczna formacja polityczna. W takiej hipotetycznej sytuacji zajmujące się sobą PiS, modernizujące się czy dzielące, nie byłoby wielce poważnym zmartwieniem dla Polski, a jedynie dla zawiedzionych wyborców.

Dziś jednak mamy do czynienia z wyjątkowo dramatyczną geopolityczną sytuacją Polski. O ile do pewnego stopnia możemy być nadal pewni sojuszu z Amerykanami, o tyle za wschodnią granicą na Polskę nie czyha już tylko Rosja. Pojawił się zupełnie nowy, potencjalny wróg, a na pewno już nieprzyjazny nam kraj, czyli Ukraina. Jej interesy, te bieżące i dalekosiężne, nie są w żaden sposób związane z Warszawą, tylko z Berlinem. I nie jest to ani bulwersujące, ani zaskakujące. Nienawiść do Polaków, skrycie pielęgnowana przez dekady, wreszcie ujrzała światło dzienne i nie jest to koniec tej dość podłej gry, a jedynie jej początek. Mocarstwowe ambicje Kijowa mogą się nam wydawać absurdalne, ale Wołodymyr Zełenski do pewnego stopnia już je realizuje, mając wsparcie nie tylko Berlina, ale także Francji i Wielkiej Brytanii. I – co niepokojące – ciche przyzwolenie Waszyngtonu, który na Ukrainie ma znacznie więcej politycznych i gospodarczych interesów niż w Polsce.

W tej oto dość krytycznej dla państwa sytuacji, zadłużonego po uszy i rozdartego totalną wojną wewnętrzną, dzieją się w obozie patriotycznym rzeczy niepojęte, niezrozumiałe dla zwykłego wyborcy Prawa i Sprawiedliwości. Liderzy skłóconych frakcji jeżdżą po Polsce i zachwalają swoje rozwiązania jako najlepsze dla kraju, wyborcy z tych wieców też się dzielą, ale w tej wielkiej wyborczej masie niemal nikt nie wie i nie rozumie, po co to wszystko. Warto byłoby zapytać zwolenników Prawa i Sprawiedliwości o to, co myślą na rok przed wyborami o tej wewnętrznej wojnie w partii, na którą do tej pory głosowali. Mówiąc wprost – ta rewolucja w Prawie i Sprawiedliwości, możliwy rozłam, dzieje się w najgorszym możliwym momencie historii Polski. Jeśli w miejsce PiS wciśnie się Konfederacja Sławomira Mentzena, to na horyzoncie widać już jeszcze gorszą koalicję rządową niż ta obecna. Oczywiście, Jarosław Kaczyński chce budować szersze porozumienie na prawicy, ale te różne prawicowe ugrupowania są zachwycone same sobą, są święcie przekonane, że PiS należy upokorzyć, wybatożyć, a potem co najwyżej dać mu jakieś resztki z pańskiego stołu. To działanie antynarodowe, nie mniej groźne niż serwilizm Donalda Tuska. Naprawdę jest to bardzo zastanawiające, na co liczą liderzy frakcji w PiS. Tu nie chodzi o krytykę ich działań, politycznych ambicji, tylko o miejsce i czas, w których znalazła się nasza ojczyzna. Oderwanie od Polski staje się po prostu faktem nie tylko tych, którzy dziś nią rządzą. Nie ma tu cienia przesady – to najpoważniejszy test na patriotyzm i polityczną mądrość od 1989 roku, a może nawet od czasów II wojny światowej. I doprawdy to widać, że PiS ma tylko pięć minut, by ten test pozytywnie zaliczyć i przejść w końcu do realnej ofensywy politycznej.

eprasa.pl 850b49e09b

KULTURA

Czytaj też:
Paternalistyczny monolog wielkomiejskich elit 48
W drugim tomie dzieje sie gorzej 52
Clint Eastwood lubi Polaków 56



NICZEGO nie żałuję

Fot. Patrycja Wiewiórka

– Dzielę się z ludźmi swoją osobowością, pokazuję pewien fragment siebie i swojej codzienności, chociaż staram się nie odsłaniać wszystkiego. Jednocześnie dzielę się muzyką. To wszystko jest częścią mnie – mówi **Żaneta Chełminiak**, wokalistka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Mam wrażenie, że to był Twój rok. A właściwie, że to wciąż jest Twój rok. Wyskakujesz mi z różnych miejsc w mediach społecznościowych. Facebook, Instagram, czy TikTok – wszędzie jest Ciebie pełno.

– Staram się. Codziennie publikuję jakiś post, więc można powiedzieć, że każdego dnia daję odbiorcom mały podarunek w postaci nowych treści.

– Kojarzę Cię nie tylko jako piosenkarkę, ale również jako

eprasa.pl 850b49e09b

Nowy singiel Żanety Chełminiak – „**Wołam do nocy**” to przejmująca opowieść zamknięta w nowoczesnym, melancholijnym popie. Utwór dla słuchaczy, którzy szukają w muzyce prawdziwych emocji i historii, z którymi można się utożsamić.

osobowość internetową, która przy okazji prowadzi odbiorców do swojej muzyki. I potraktuj to jako komplement.
– Dobrze, skoro tak to przedstawiasz, to rzeczywiście brzmi fajnie.

– Ludzie trafiają na Twoje humorystyczne treści, widzą Twój uśmiech i dystans do samej siebie, zaczynają interesować się Tobą jako człowiekiem, a później mogą dotrzeć do muzyki. Taki dystans wcale nie jest wśród artystów oczywisty.
– Taka jestem. Dzielę się z ludźmi swoją osobowością, pokazuję pewien fragment siebie i swojej codzienności, chociaż staram się nie odsłaniać wszystkiego. Jednocześnie dzielę się muzyką. To wszystko jest częścią mnie.

POCHODZĘ Z MAŁEJ WSI TOPÓLKI, WIĘC MAM CHYBA DOSYĆ PRZYZIEMNE PODEJŚCIE DO CODZIENNOŚCI.

– Skoro już jesteśmy przy muzyce: o co dzisiaj wołasz? O uwagę, zdrowie, stabilne życie?
– Teraz wołam do nocy.

– Czyli potrafisz reklamować własny singiel.
– Oczywiście! Zapraszam wszystkich do wysłuchania „Wołam do nocy”. To utwór opowiadający o czymś bardzo istotnym i aktualnym właściwie dla każdego z nas – o tęsknocie. I nie chodzi wyłącznie o tęsknotę romantyczną. Możemy tęsknić za rodzeństwem, przyjaciółmi, bliskimi ludźmi. Ja na przykład bardzo tęsknię za moją siostrą, z którą wcześniej mieszkałam.

– W Twoich piosenkach słychać sporo przemyśleń. Muzycznie mogą być podane w lekkiej formie, ale pod powierzchnią dzieje się znacznie więcej.
– Akurat tekst „Wołam do nocy” napisał Tomasz Mioduszewski. To już nasza druga współpraca. Po prostu czułam, że potrzebuję właśnie jego, skontaktowałam się z nim i zgodził się ponownie ze mną pracować.

– A może w przyszłości jakiś stały duet?
– Nie sądzę. Bardzo chętnie współpracuję jako wokal wspierający i naprawdę to lubię, bo takie doświadczenia są bardzo rozwijające. Mam również swój zespół i wspaniałych muzyków, ale jako artystka jestem jednak solistką. Ja to po prostu ja.

UPORZĄDKOWANA CODZIENNOŚĆ NIE PRZEKŁADA SIĘ AUTOMATYCZNIE NA UPORZĄDKOWANĄ TWÓRCZOŚĆ.

– Po udziale w „The Voice of Poland” wzrosła liczba Twoich koncertów?
– Nie.

– Naprawdę?
– Naprawdę.

– A mimo to jeszcze raz zdecydowałabyś się na udział w programie?
– Tak. Powtórzyłabym wszystko. Niczego nie żałuję.

– Jak z perspektywy kilku miesięcy patrzysz na to doświadczenie? Byłaś w programie oglądanym przez ogromną publiczność, a jednak nie nastąpił automatyczny wysyp koncertów.
– Jest, jak jest. „It is what it is”. Ale będzie dobrze.

– Nadal pracujesz zawodowo poza muzyką?
– Tak. Właśnie wróciłam z delegacji z Białegostoku. Miałam spotkania i przyjechałam właściwie prosto tutaj. Przebrałam się na parkingu w samochodzie, pomalowałam i założyłam kolczyki.

– Kiedy możemy spodziewać się płyty?
– Bardzo chciałabym, żeby wydarzyło się to w tym roku. Mam już utwory, ale trzeba je jeszcze zmiksować i dopracować. Cały czas nad nimi pracujemy. Nie wiem, czy uda się ze wszystkim zdążyć, ale jestem dobrej myśli.

– Skoro mówimy o dobrej myśli: jesteś zadowolona ze swojego obecnego miejsca w branży muzycznej? Oczywiście każdy

eprasa.pl 850b49e09b

chce się rozwijać i osiągać więcej, ale czy patrząc na dotychczasowe doświadczenia, single i udział w talent show, czujesz satysfakcję?
– Tak, jestem zadowolona. Ale cały czas chcę iść do przodu.

– Wykonałaś dużą pracę nad sobą. Artyście potrzebna jest przecież również zdrowa głowa, bo wszystko ostatecznie wpływa na tworzenie.
– Przede wszystkim myślę, że ja i moje siostry zostałyśmy dobrze wychowane. Mam dwie siostry. Pochodzę z małej wsi Topólki, więc mam chyba dosyć przyziemne podejście do codzienności.

– Czyli wiejskie życie, gospodarstwo, obowiązki od rana?
– Nie aż tak! [śmiech] Ale rzeczywiście pochodzę z małej miejscowości i chyba coś z tego sposobu myślenia we mnie zostało.

– Porządek w głowie sprawia, że również muzyka i teksty stają się lepsze?
– To nie jest takie proste. Mogę mieć poukładaną codzienność, pracę i różne praktyczne sprawy, ale pisanie piosenek, tworzenie i funkcjonowanie na scenie to trochę inny świat. Oczywiście gdyby w moim życiu panował kompletny chaos, prawdopodobnie byłoby mi dużo trudniej pisać. Ale to nie znaczy, że uporządkowana codzienność automatycznie przekłada się na uporządkowaną twórczość. Nad sobą natomiast cały czas pracuję. Wydaje mi się, że bardzo się zmieniłam. Mam nadzieję, że na lepsze.

BYWAM SMUTNA. KAŻDY BYWA. DZIWNE BYŁOBY, GDYBYM PRZEZ CAŁY CZAS CHODZIŁA UŚMIECHNIĘTA.

– Co jest dzisiaj najtrudniejsze w życiu artystki, a jednocześnie młodej kobiety funkcjonującej we współczesnym świecie?
– Czas.

– Jest go za mało?
– Zdecydowanie. Mam pracę zawodową, która zajmuje osiem godzin, ale przecież trzeba jeszcze do niej dojechać i z niej wrócić. W Warszawie z ośmiu godzin bardzo szybko robi się dziesięć. Mam lekcje, terapię, zajęcia związane z muzyką. Codziennie trzeba śpiewać, próbować coś napisać, ćwiczyć. Nawet jeśli nie ma się siły, warto zrobić chociaż odrobinę. Do tego dochodzą koncerty, nagrania, sesje zdjęciowe i wiele innych rzeczy. Staram się również dbać o przyjaciół i relacje. Wiem, że mogłabym częściej spotykać się z ludźmi, ale zwyczajnie nie zawsze mam na to czas. Chciałabym mieć go więcej. Gdybym mogła zlikwidować niektóre czynności, takie jak spanie czy inne elementy prozy życia, żeby zyskać kilka dodatkowych godzin, pewnie bym to zrobiła. Chociaż akurat spać bardzo lubię.

– Czyli dodatkowy czas przeznaczyłabyś na pasję i ludzi?
– Dokładnie.

Żaneta Chełminiak

– zwyciężczyni „The Voice Comeback Stage powered by Orange" oraz finalistka XVI edycji „The Voice of Poland". Niezwykła artystka, która łączy w sobie talenty wokalistki, autorki tekstów, kompozytorki i... biotechnolożki! Do tej pory ukazała się jej EP-ka „Szlus", wydana z zespołem Damn Good Coffee, kilka singli solowych oraz debiutancki album – „Chłopaki płaczą". Cały materiał balansuje pomiędzy popem, R&B i soulem. To historie z życia aktywnej poszukiwaczki miłości.

Inspiracją do tworzenia są dla artystki zarówno własne przeżycia, jak i historie bliskich jej osób. Nieprzerwanie, z wielką wytrwałością i wiarą w siebie wynikającą z potrzeby serca wykonywania pracy muzycznej, artystka dociera do coraz szerszej publiczności. Współpracowała z uznanymi artystami i producentami, takimi jak: Krzysztof Zalewski, Paweł Domagała, Sarius, Chivas, SARSA, Ania Szarmach, a w Pawbeats Orchestra – z Roksaną Węgiel, KIZO, Kękę, Anią Dąbrowską, Paluchem, Soblem i wieloma innymi.

Artystka jest również laureatką wielu festiwali i konkursów wokalnych, w tym nagrody Dyrektora Teatru Polskiego Radia. Jej talent sceniczny już zdążył zaistnieć na wielu festiwalowych scenach, takich jak OnAir Festiwal, Męskie Granie 2022, Fryderyki, Scena Radia RMF FM, Earth Festiwal Polsat, OdNowa czy Letnie Brzmienia.

Twórczość szybko zdobywa uznanie i znajduje swoje miejsce na najważniejszych playlistach muzycznych w Polsce, a jej single trafiają również do licznych rozgłośni radiowych. Obecnie artystka pracuje nad drugim solowym albumem, na którym będzie można usłyszeć dużo więcej gitarowych brzmień, świetnie komponujących się z jej barwą głosu.

eprasa.pl 850b49e09b

– Jest jeszcze jedna rzecz, która bardzo Cię wyróżnia. Odkąd Ciebie obserwuję, praktycznie cały czas się uśmiechasz. Tymczasem wielu ludzi z branży muzycznej jest zmęczonych i przytłoczonych walką o liczby, zasięgi i virale. Ty natomiast idziesz przez życie z uśmiechem. Skąd bierzesz tę radość?

– Pamiętaj, że widzimy się teraz przez kilkadziesiąt minut. Jestem uśmiechnięta, bo cieszę się, że mnie zaprosiłeś po roku, że znalazłeś dla mnie czas i chciałeś ze mną porozmawiać. Nie przyszłam tutaj za karę. Naprawdę cieszę się, że tu jestem. W kontakcie z drugim człowiekiem zazwyczaj staram się taka być. Ale oczywiście mam też momenty, kiedy wracam do domu, muszę się położyć i przespać, zanim będę w stanie normalnie funkcjonować. Bywam smutna. Każdy bywa. Dziwne byłoby raczej to, gdybym przez cały czas chodziła uśmiechnięta.

– Gdybyś mogła nagrać piosenkę do dowolnego filmu albo serialu, co byś wybrała? Może coś ze świata Harry'ego Pottera?

– Oczywiście! Jestem Potterheadem. Ale bardzo chciałabym też nagrać piosenkę do jakiejś animacji Disneya.

– Widzę Cię w takim repertuarze.

– Ja też! Bardzo bym chciała. Tylko te piosenki często są napisane bardzo wysoko i zastanawiam się, czy dałabym radę.

– Dałabyś.

– Pewnie bym dała. Bycie księżniczką Disneya byłoby super.

BARDZO CHCIAŁABYM NAGRAĆ PIOSENKĘ DO ANIMACJI DISNEYA.

– A gdyby chodziło o film, który już istnieje?

– Mój ukochany film to „Ojciec chrzestny", więc może właśnie do niego.

– Tego się po Tobie nie spodziewałem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Spodziewałbym się raczej czegoś w rodzaju „Euforii" albo „Diabeł ubiera się u Prady".

– Akurat „Euforia" ma znakomitą ścieżkę dźwiękową. Ale lubię bardzo różne rzeczy.

– Masz czas na narzekanie?

– Oczywiście, że mam! Ale może porozmawiajmy jeszcze trochę o singlu! [śmiech]

– Przecież rozmawiamy o muzyce przez cały czas, tylko nie zawsze bezpośrednio. Dzisiaj sama muzyka często nie wystarcza. Ludzie chcą znać człowieka, który za nią stoi. Przychodzą do artysty również ze względu na jego osobowość, a dopiero później zostają dla piosenek. Ty tę osobowość masz.

– Dziękuję.

– I myślę, że to jest dobra puenta.

– W takim razie: do zobaczenia w Opolu za rok.

– Do zobaczenia!

„WOŁAM DO NOCY"

Twórczość Żanety Chełminiak charakteryzuje się przede wszystkim jakościowymi, popowymi kompozycjami, raczej z pogranicza tych bardziej taneczno-rozrywkowych. Mimo to artystka absolutnie nie zamyka się na brzmieniowe eksploracje i już nieraz udowodniła, że świetnie odnajduje się również w bardziej nostalgicznych i poruszających odsłonach, jak chociażby w singlu „Daj mi odejść" czy „Topnieję".

Jej najnowsza muzyczna propozycja to kolejna emocjonalna opowieść. „Wołam do nocy" opowiada o tęsknocie, którą można przyrównać do fantomowego bólu. Miłości, która mimo rozstania wciąż żyje we wspomnieniach, gestach i niedopowiedzianych emocjach.

Już od pierwszych wersów piosenka buduje intymny klimat, prowadząc słuchacza przez historię relacji pełnej bliskości, bólu i prób pogodzenia się z utratą. Refren natychmiast zostaje w głowie, w związku z czym piosenki nie da się przesłuchać tylko raz. Z kolei emocjonalny wokal Żanety Chełminiak nadaje całości autentyczności i wyjątkowej wrażliwości.

Za tekst do singla „Wołam do nocy" odpowiada duet Żanety i Tomasza Mioduszewskiego, którzy stworzyli działającą na wyobraźnię historię pełną wyraźnych obrazów i intensywnych emocji. Muzykę skomponował duet Liker$ tworzony przez Pawła Wawrzeńczyka i Karola Serka. Producenci nadali utworowi nowoczesnego, przestrzennego brzmienia, które balansuje między alternatywną nostalgią a przebojowym współczesnym popem.

eprasa.pl 850b49e09b

FILM



Fot. materiały producenta

Paternalistyczny monolog wielkomiejskich elit

Podczas gdy w kinematografiach zachodnich kino zaangażowane często demaskowało i piętnowało chciwość, zepsucie i hipokryzję wyższych klas społecznych, polskie kino zaangażowane uczyniło swoim głównym **obiektem ataku klasy niższe** – wieś i prowincję portretowane często jako siedlisko ciemnoty, ksenofobii, zabobonu i agresji. W rezultacie zamiast ważnych filmów opartych na rzetelnej obserwacji społecznej oglądaliśmy na ekranie projekcję uprzedzeń i lęków charakterystycznych dla elit symbolicznych III RP.

Marek Nowak

Popkultura od zawsze pełni funkcję społecznego lustra. To właśnie w niej najpełniej odbijają się lęki, aspiracje, intelektualne mody, fantazje i obsesje tych zbiorowości, które dane dzieło tworzą i konsumują. Nie jest to obraz kompletny, obejmujący całe społeczeństwo w jego wielowątkowej złożoności, lecz z pewnością reprezentatywny dla istotnej jego części. Dotyczy to literatury, muzyki, a w szczególności kina – medium o niezwykłej sile oddziaływania i największym potencjale kształtowania zbiorowych emocji. Niedawne przykłady z zagranicy potwierdzają tę tezę. Niszowy niemiecki reżyser Uwe Boll swoim kontrowersyjnym, zrealizowanym w półamatorskiej estetyce antyimigranckim thrillerem „Citizen Vigilante" wywołał wielodniową debatę publiczną. Zupełnie innego rodzaju kontrowersje, jeszcze przed premierą, wzbudziła nowa adaptacja homerowskiej „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana. Kino jak żadne inne medium potrafi poruszać najgłębsze społeczne struny, a jego twórcy doskonale zdają sobie z tego sprawę – często celowo konstruując swoje dzieła wokół tych emocji. Jak na tym tle prezentuje się polska kinematografia po 1989 roku? Przez dekady była ona rozdarta między własną bogatą tradycją – złotymi latami Polskiej Szkoły

eprasa.pl 850b49e09b



Fragment kadru z filmu „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego

Filmowej i Kina Moralnego Niepokoju – a typową dla Europy Środkowo-Wschodniej gorączkową pogonią za zachodnimi wzorcami. Ten swoisty rozkrok między marzeniem o kinie gatunkowym a poczuciem duchowego zobowiązania wobec „wielkich poprzedników” (Wajda, Zanussi, Holland, Kieślowski) przez długi czas działał paraliżująco na nowe pokolenia twórców. Młodsi reżyserzy, nie mogąc dorównać poprzednikom pod względem warsztatu i artystycznej głębi, często próbowali wpisać się przynajmniej w ich pozakinowe przekonania światopoglądowe. Mówiąc w uproszczeniu: skoro nie potrafili nakręcić filmu na poziomie „Człowieka z marmuru” czy „Przesłuchania”, to przynajmniej realizowali wizję świata bliską symbolicznym elitom III RP. W efekcie kino zaangażowane społecznie stało się w dużej mierze projekcją tego, jak elity kulturalne postrzegają polską rzeczywistość – rzadko podejmując trud autentycznego poznania i zrozumienia perspektywy innych warstw społecznych. Stan ten utrwalał model finansowania kinematografii – w przeważającej mierze państwowy, przy niemal nieistniejącym niezależnym rynku producenckim. Produkcje niewpisujące się w dominujące trendy ideowe miały znikome szanse na uzyskanie środków. Z czasem elitarne spojrzenie uległo internalizacji i stało się głównym nurtem polskiego kina artystycznego. Paradoksalnie, podczas gdy w większości krajów Zachodu kino zaangażowane często brutalnie atakuje i piętnuje wyższe klasy społeczne, polskie kino zaangażowane najczęściej czyni obiektem krytyki (często karykaturalnej) klasy niższe – zwłaszcza polską wieś i prowincję.

Wieś z koszmaru

Przykłady tego zjawiska są liczne. Ograniczę się do najbardziej wymownych. „Pokłosie” (2012, reż. Władysław Pasikowski) miało szansę stać się ważnym filmem w polskiej kinematografii. Obraz odwołujący się do trudnych kart polskiej historii, przedstawiony językiem kina gatunkowego przez twórcę „Psów” – brzmiało to w zapowiedziach obiecująco. Niestety, film okazał się groteskowo przerysowany. Portret mieszkańców wsi jako jednolitej, odrażającej, moralnie upadłej tłuszczy przywodzi na myśl dehumanizujące przedstawienie czarnoskórych w „Narodzinach narodu” D.W. Griffitha z 1915 roku. Porównanie jest mocne, ale nasuwa się samoistnie. Klasizm filmu Pasikowskiego jest widoczny jeszcze bardziej, gdy zestawimy filmowe wydarzenia z prawdziwymi. Twórcy filmu podkreślali, że zainspirowali się prawdziwą historią społecznika z Brańska. Postać Józefa Kaliny (w tej roli Maciej Stuhr), który w filmie odnajduje, zabezpiecza i ustawia na własnym polu żydowskie nagrobki, była bezpośrednio wzorowana na realnych działaniach Zbigniewa Romaniuka. Ten historyk i regionalista już w latach 80. XX wieku zaczął na własną rękę odnajdywać poniszczone, porzucone i wykorzystywane jako materiał budowlany macewy. Oczyszczał je, zabezpieczał i odczytywał z nich

eprasa.pl 850b49e09b

inskrypcje dokładnie tak, jak robił to bohater „Pokłosia". Choć jego praca wywoływała lokalne dyskusje, kontrowersje i niekiedy niezrozumienie, to ostatecznie za swą działalność doczekał się uznania lokalnej wspólnoty, był przez nią wielokrotnie wybierany do lokalnych władz, pełniąc m.in. funkcję przewodniczącego Rady Miasta Brańsk. Natomiast w groteskowej rzeczywistości filmu Józef Kalina zostaje przez oszalałe z nienawiści chłopstwo malowniczo ukrzyżowany na drzwiach stodoły. Sportretowanie mieszkańców wsi w klasistowski sposób okazało się dla twórców ważniejsze niż przedstawienie prawdziwej historii.

Fałszywa „Twarz" prowincji

Podobne zjawisko mogliśmy zaobserwować w przypadku filmu „Twarz" (2017) w reżyserii Małgorzaty Szumowskiej. Autorka połączyła dwa głośne, realne zdarzenia z życia współczesnej Polski, traktując je jako punkt wyjścia do swojej filmowej opowieści. Główną inspiracją była historia Grzegorza Galasińskiego, który w 2013 roku uległ koszmarnemu wypadkowi w zakładzie kamieniarskim. Lekarze z Centrum Onkologii w Gliwicach przeprowadzili wtedy pionierską, udaną operację transplantacji twarzy, by ratować jego życie. Drugim zdarzeniem była budowa gigantycznego pomnika – filmowy Jacek (w tej roli Mateusz Kościukiewicz) ulega wypadkowi podczas pracy przy budowie wielkiego posągu. To bezpośrednie nawiązanie do budowy pomnika Chrystusa Króla w Świebodzinie, który ukończono w 2010 roku. Podobnie jak w przypadku „Pokłosia" mamy tu znacząco zmieniony przebieg zdarzeń. W filmie Szumowskiej powrót Jacka do rodzinnej wsi po operacji staje się koszmarem. Społeczność reaguje na niego strachem, nietolerancją, zabobonnością i odrzuceniem, traktując go jak potwora lub obcego. Dziewczyna go opuszcza, a matka zastanawia się, czy pod nową skórą nie kryje się diabeł, i myśli o sprowadzeniu egzorcysty. Polska prowincja przedstawiona jest jako groteskowa przestrzeń zaludniona przez okrutne dzieci, obłudnych fanatyków religijnych, wiecznie pijanych rasistów i ksenofobów oraz pazernych i lubieżnych księży. Wszystkie te pokraczne postacie zaszczuwają głównego bohatera tylko dlatego, że został okaleczony. W rzeczywistości pan Grzegorz Galasiński po wypadku spotkał się z ogromnym wsparciem i solidarnością ze strony mieszkańców swojej wsi (Niemil), lokalnego proboszcza oraz rodziny. Sam w wywiadach po premierze odcinał się od filmu, podkreślając, że przedstawiona w nim wieś i zachowania bliskich zupełnie nie pokrywają się z jego życiem. Sama reżyserka, odnosząc się do zarzutów wobec filmu, otwarcie przyznawała, że zabieg ten był celowy. Medyczna historia miała posłużyć za metaforę do zbadania „polskiej tożsamości", na którą zdaniem Szumowskiej składają się „powierzchowna religijność oraz lęk przed innością i zmianą". Tylko że jej film nie jest żadnym „badaniem", lecz półprzytomną projekcją leków i obsesji nie tylko samej reżyserki, lecz – jak się wydaje – ogromnej części artystycznego środowiska. To także bardzo typowy przykład polskiego kina zaangażowanego.

> KINO ZAANGAŻOWANE SPOŁECZNIE STAŁO SIĘ W DUŻEJ MIERZE PROJEKCJĄ TEGO, JAK ELITY KULTURALNE POSTRZEGAJĄ POLSKĄ RZECZYWISTOŚĆ – RZADKO PODEJMUJĄC TRUD AUTENTYCZNEGO POZNANIA I ZROZUMIENIA PERSPEKTYWY INNYCH WARSTW SPOŁECZNYCH.

Projekcja zamiast obserwacji

Jak już wspomniałem, kolejne przykłady można mnożyć. „Pokot" (2017) w reżyserii Agnieszki Holland na podstawie powieści Olgi Tokarczuk to swoisty pamflet na „prawicową" prowincję. Kotlina Kłodzka jest tu przedstawiona jako mroczna kraina rządzona przez bezwzględny, patriarchalny sojusz lokalnych dygnitarzy: myśliwych, księdza, policji i kłusowników. Społeczność wiejska jest ukazana jako zbiorowość znieczulona na cierpienie zwierząt, skorumpowana i agresywna wobec każdego, kto odstaje od normy. Przyznam, że subkultura myśliwska z jej absurdalnymi rytuałami typu smarowanie twarzy uczestników polowania zwierzęca krwią – także dzieci, które według jej założeń „powinny brać udział w polowa-

eprasa.pl 850b49e09b

niach" – zawsze budziła we mnie głęboką niechęć. To powinno czynić ze mnie potencjalnego odbiorcę filmu Holland. Jednak pomijając inne kontrowersje wokół filmu, przedstawiony w nim obraz wydawał mi się bardziej projekcją niż obserwacją. Ostatecznie stosunek zarówno do myślistwa, jak i do zwierząt idzie w poprzek nie tylko podziałom klasowym, lecz także ideologicznym. Na pozycji prozwierzęcej i niechętnej polowaniom od zawsze znajduje się lider prawicy, Jarosław Kaczyński, podczas gdy ważni politycy obozu liberalnego, tacy jak Bronisław Komorowski czy Janusz Palikot, polowali z bronią na zwierzęta w ramach hobby. Jednak czy w „Pokocie" znajdziemy jakiegoś wielkomiejskiego polityka, który przyjechał na polowanie na prowincję? Oczywiście, że nie. Taki obrazek za bardzo zaburzałby ideologiczną wymowę całości filmu. Tym bardziej że główną bohaterką opowieści jest archetyp wykształconej kobiety pracującej z sukcesami za granicą.

Pozorny symetryzm Komasy

Gdy myślę o obrazach, których twórcy zapowiadali, że w kinie zaangażowanym pójdą inną niż wydeptaną przez większość drogą, na myśl przychodzi mi „Hejter" z 2020 roku. Jego reżyser Jan Komasa przekonywał wtedy, że jest niemal symetrystą. Film to opowieść o wywodzącym się z klasy ludowej niebezpiecznym socjopacie granym przez Macieja Musiałowskiego, który chcąc się zemścić na należącej do elity rodzinie za protekcjonalne traktowanie, uruchamia spiralę agresji i przemocy. Choć Komasa przedstawia tu elity jako ludzi nadmiernie wywyższających się, to jednocześnie kreśli ich obraz jako osób w rozczulający sposób bezbronnych i ogólnie mających dobre intencje. Wszelkiej przemocy dopuszcza się w filmie jedynie druga strona, więc jeśli mamy tu do czynienia z symetryzmem, to jedynie pozornym. Ostatecznie – czy przedstawiona w filmie inteligencka rodzina odczuwająca niechęć do złowrogiej postaci bohatera filmu nie miała jednak racji? W rzeczywistości, nawet jeśli Komasa pozwolił sobie na krytykę elit, to finalnie utrwalał prezentowany przez nie obraz świata, zamiast próbować go naruszyć.

Pułapka klasowego monologu

Ta systemowa niezdolność do opuszczenia bezpiecznych, wielkomiejskich pozycji rezonuje w polskim kinie do dziś. Oczywiście stopniowo pojawiają się twórcy, którzy odchodzą od środowiskowych uprzedzeń, lecz wszelkie zmiany zachodzą bardzo powoli. Warto postawić pytanie, dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź kryje się w samej strukturze środowiska filmowego, które w Polsce pozostaje strukturą skrajnie homogeniczną i zamkniętą. Twórcy oraz decydenci przyznający państwowe dotacje dla filmów często rekrutują się z tego samego kręgu towarzysko-intelektualnego. W tym układzie film nie powstaje po to, by rzucić wyzwanie dominującym przekonaniom, ale by zaspokoić potrzebę moralnej wyższości własnego plemienia. To kino, które nie szuka dialogu, lecz poklasku u tych, którzy już wcześniej podzielali diagnozę o „zacofanej, agresywnej prowincji". Tymczasem prawdziwe, żywe społeczeństwo ucieka z tych uproszczonych ram. Współczesna polska wieś i mniejsze miasta to przestrzenie dynamicznych zmian społecznych, skomplikowanych procesów adaptacyjnych wobec zmieniającej się rzeczywistości, ale też unikalnych, lokalnych więzi, których elity zza symbolicznych szyb warszawskich kawiarni po prostu nie dostrzegają. Ignorując tę złożoność, polskie kino zaangażowane dobrowolnie skazuje się na marginalizację. Przestaje być lustrem, w którym moglibyśmy się przejrzeć jako wspólnota, a staje się jedynie gabinetem krzywych zwierciadeł produkującym obrazy pod dyktando środowiskowych fobii. Wielkie kino światowe, jak „Parasite" Joon-ho Bonga (2019) czy „Nomadland" Chloé Zhao (2020), potrafiło pokazywać klasowe napięcia w sposób pogłębiony i pozbawiony protekcjonalizmu. Polska kinematografia wciąż w dużej mierze tkwi w pułapce moralizatorskiego spojrzenia z góry. Myślę, że w dzisiejszych czasach rosnących napięć społecznych i pogłębiającej się polaryzacji potrzebujemy kina, które będzie odważniejsze w społecznej obserwacji i pokorniejsze w osądach. Wierzę, że kiedyś się go doczekamy.

WIELKIE KINO ŚWIATOWE, JAK „PARASITE" JOON-HO BONGA CZY „NOMADLAND" CHLOÉ ZHAO POTRAFIŁO POKAZYWAĆ KLASOWE NAPIĘCIA W SPOSÓB POGŁĘBIONY I POZBAWIONY PROTEKCJONALIZMU.

eprasa.pl 850b49e09b

W drugim tomie dzieje się gorzej

Rok temu rozmawialiśmy z **Marianem Baczalem** przy okazji premiery jego pierwszej książki, postapokaliptycznej historii alternatywnej o zmagającej się z zimą, pyłem i demoniczną, tajemniczą czernią Rzeczpospolitej Narodów. Właśnie ukazał się tom drugi tej powieści, przy okazji którego rozmawiamy o książce, procesie twórczym i Sworzniu, psie pisarza. Rozmawia **Krzysztof Karnkowski**.

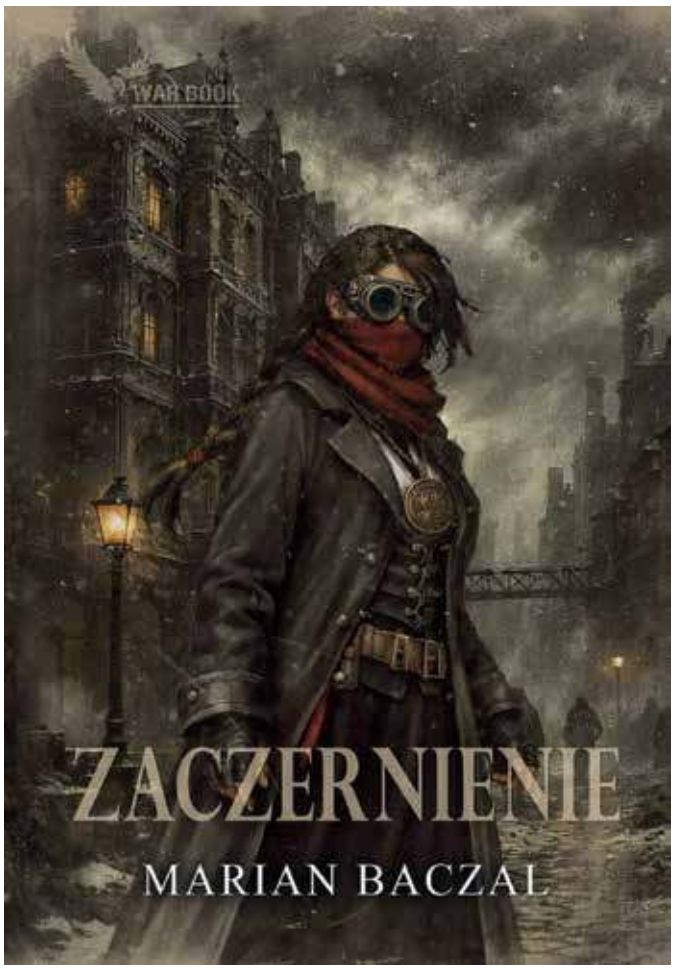
– Jak pies Sworzeń znosi upały?
– Bardzo dobrze. Przez sześć, osiem godzin śpi, później około dziewiętnastej albo dwudziestej idziemy na krótki spacer, wracamy i śpi do siódmej rano. Polecam: jeśli ktoś może, upały trzeba przespać. No i pić dużo wody.

– Twoje uniwersum jest w tym sensie odwrotnością lata: jest, delikatnie mówiąc, chłodne. Zanim porozmawiamy o „Zaczernieniu”, kontynuacji „Źródła czerni”, zapytam o rzecz podstawową: drugą książkę pisze się łatwiej czy trudniej niż pierwszą? W muzyce mówi się o trudności drugiej płyty: trzeba potwierdzić oczekiwania, ugruntować pozycję, znaleźć własny charakter. W literaturze jest podobnie?
– Łatwiej napisać drugą albo kolejną książkę, jeśli nie jest powiązana z pierwszą. Drugi tom „Źródła czerni” mnie wymęczył, nie będę ukrywał. Przede wszystkim dlatego, że w ogóle nie miałem go w planach. Chciałem zamknąć tę opowieść w jednym tomie i nigdy więcej do tego świata nie wracać. Sporo osób mówiło jednak, że to błąd, że wątków jest za dużo, żeby je zostawić. Pisząc więc trochę pod publiczkę – przyznaję się – musiałem napisać drugi tom. Było trudniej niż przy pierwszym, bo pojawiło się więcej zależności. Musiałem wszystko lepiej przemyśleć fabularnie. Pierwszy tom chwalono głównie za światotwórstwo; w drugim świat już istnieje, więc trzeba było postawić na coś innego. Kolejna książka będzie łatwiejsza, jeśli tylko nie będzie w świecie czerni. A jeśli zacznę trzeci tom, to pewnie w 2028 roku. Chciałbym, żeby każda z tych książek była inna. Pierwsza była bardziej postapokaliptyczna, druga jest bardziej – nie chcę powiedzieć prawnicza, bo to byłoby za dużo – instytucjonalna. Tej postapokalipsy nie ma w niej aż tak dużo. A o trzeciej nic nie powiem, bo nie chcę robić spoilerów.

W PIERWSZYM TOMIE WALCZYMY Z POTWORAMI, W DRUGIM BARDZIEJ Z BIUROKRACJĄ I ODCZŁOWIECZONYM SYSTEMEM.

– Właśnie o tę różnicę gatunkową chciałem pytać. „Źródło czerni” to postapo i kreowanie świata. W „Zaczernieniu” skupiasz się bardziej na mechanizmach: pokazujesz świat przez gry instytucjonalne, polityczne, prawne. To był plan czy tak wyszło w trakcie pisania?
– To był plan, ale wynikający z ograniczeń, które sam sobie stworzyłem. Skoro pierwszy tom miał być jedyny, to na początku drugiego bohaterów jest mniej. Nie chciałem

eprasa.pl 850b49e09b



też utrudniać czytelnikom życia, wprowadzając nagle dużo nowych postaci, więc musiałem rzeźbić z tego, co zostało z pierwszego tomu. Wraca siostra głównego bohatera, wraca instygator, więc wraca instygatura i całe to prawniczenie. Kiedy wiedziałem już, że ta historia nie zamknie się w dwóch częściach, trzeci tom zaczął być bardziej przemyślany. Chciałem też, żeby drugi tom był inny. Skoro pierwszy był postapo, nie chciałem za każdym razem pisać tego samego. W pierwszym tomie walczymy z potworami, w drugim bardziej z biurokracją i odczłowieczonym systemem. Świat jest nieprzyjazny i niebezpieczny także z punktu widzenia prawa i instytucji. Jeśli ktoś chce prawniczej postapo, to zapraszam.

– Są jednak fragmenty idące w prostej linii ze „Źródła czerni", choćby cały wątek prowincjonalny.

– Nie mogłem tego zupełnie porzucić, ale jest tego mniej. „Źródło czerni" od początku miało być trochę akcyjne. To jednocześnie się podobało i nie podobało, w pewnym momencie zostawiam postapo i zaczynam strzelać. W „Zaczernieniu" strzelanki jest mniej. Za to więcej akcji w innym miejscu. Ktoś podsumował „Źródło czerni" jako książkę o tym, żeby nie brać narkotyków. „Zaczernienie" jest książką o tym, że mobbing jest zły i należy go zgłaszać. To jest właśnie różnica akcentów.

– Mam wrażenie, że „Źródło czerni" było lepsze, a „Zaczernienie" jest fajniejsze. Pierwsze było bardzo ciekawe literacko jako stworzenie świata. Drugie jest bardziej instytucjonalne, może nawet Zajdlowskie, ale też ciekawie pokazuje motywacje bohaterów. Jest tam moment, który bardzo lubię w serialach: człowiek mógłby rozwiązać swoje problemy, przynajmniej zaryzykować, ale boi się i wpycha się w beznadzieję, w czyny, których natychmiast żałuje.

– Jeśli jesteśmy przy serialowych odniesieniach, zawsze podobało mi się „Fargo". Tam bohaterowie często stają się bohaterami mimowolnie: ktoś jest w złym miejscu, ktoś znajduje coś, czego nie powinien. Może Klara i Szczurek są moją próbą wrzucenia postaci w przypadkowe miejsce i czas: niech sobie radzą. Bardzo lubię też to wrażenie, że wszystkiego można było uniknąć, gdyby ktoś tylko chciał.

– W pierwszej części było mrugnięcie okiem do osób z Twittera w postaci umieszczenia w akcji „grupy Turkucia". W drugim tomie nic równie oczywistego nie wyłapałem, chyba że „koroniarzy" potraktować jako drobną złośliwość.

– Nie, absolutnie nie. Koroniarze pojawili się z innego powodu. Graf Zero [autor vloga literackiego – przyp. K.K.] powiedział mi, że w steampunku ważne jest tarcie społeczne i że fajnie, że u mnie też ono jest. Mnie to wcześniej właściwie nie przyszło do głowy. W pierwszym tomie to było, ale bardziej mimowolnie. W drugim musiałem znaleźć problem społeczny między ludźmi z Nory, zakopanymi w Tatrach, a tymi, którzy ich doją i różne rzeczy z nich wyciągają. Easter eggów jest sporo, ale są bardziej zaszyte. Główni bohaterowie pierwszego rozdziału – Kuba, Lech i Mateusz – to przypadek, ale kibice pewnie wyłapią smaczek. Starałem się jednak nie robić tego na siłę. Nie chciałem, żeby książka zmieniła

„ZACZERNIENIE" JEST KSIĄŻKĄ O TYM, ŻE MOBBING JEST ZŁY I NALEŻY GO ZGŁASZAĆ.

eprasa.pl 850b49e09b

się w grę w wyszukiwanie znajomych autora. To ma być powieść.

– Tarcie społeczne opisałeś bardzo trafnie. Pojawia się tam wątek sztucznie wykreowanego napięcia, indukowanej rewolucji. Inspirowała Cię jakaś sytuacja historyczna?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że było to bardzo przemyślane. Zaczęło się od wyobraźni. Chciałem mieć bohatera, który bohaterem nie jest, a mimo to wszyscy myślą, że jest. To nie jest nic świeżego i pewnie kilka rewolucji dałoby się tak opisać, ale nie podam teraz konkretnego przykładu. To była czysta wariacja literacka, bo takiego bohatera potrzebowałem.

– Zapytam o tytuł. Wrzuciłem eksperymentalnie oba tomy do ChataGPT i poprosiłem o analizę. Zwrócił uwagę, że „Zaczernienie" może odnosić się nie tylko do biologicznego procesu, ale też do instytucji opisanego świata. Co Ty na to?

– Zacznę od sztucznej inteligencji. Zasadniczo nie korzystam z niej przy pisaniu, ale kiedy pojawił się Claude Fable, którego nam perfidnie zabrano, wrzuciłem oba tomy, żeby znalazł błędy. To było już po wysłaniu książki do druku, więc czysta zabawa. Fable stwierdził, że literówek w „Zaczernieniu" nie ma dużo, ale jedna powinna zostać jak najszybciej usunięta: na pierwszej stronie, w tytule. Kiedy otwierasz książkę, widzisz „Zaczerninie", a nie „Zaczernienie". W e-booku tego nie ma, ale w druku jest. To prawdopodobnie moja najlepsza literówka. Gorszy byłby chyba tylko błąd w nazwisku. A sam tytuł? Zamysł był trochę inny: w drugim tomie dzieje się gorzej niż w pierwszym. Sytuacja jest bardziej zła, bardziej napięta, więc się zaczerniamy. Interpretacja instytucjonalna ma sens, choć nie do końca tak to planowałem. Te instytucje nie stają się gorsze w trakcie fabuły. One już takie są i takie będą. To świat, który nie jest fajny od sześciuset lat. Chciałem pokazać, że ten tom będzie cięższy, ale w innych miejscach. Jest w tym samym świecie i podobnym stylu, chociaż dodałem więcej humoru. Ryszard Chojnowski zwracał mi uwagę, że pierwszy tom jest straszenie mroczny i smutny. Uznałem, że nadziei się nie da, ale czarnego humoru można dorzucić. Jedną z moich ulubionych scen jest scena z czarnym gołąbkiem.

> FABLE STWIERDZIŁ, ŻE LITERÓWEK W „ZACZERNIENIU" NIE MA DUŻO, ALE JEDNA POWINNA ZOSTAĆ JAK NAJSZYBCIEJ USUNIĘTA: NA PIERWSZEJ STRONIE, W TYTULE.

– Jak po czasie oceniasz odbiór pierwszego tomu? Rozumiem, że było to trochę dopełnienie kreacji internetowej, którą wokół siebie stworzyłeś. Tymczasem wyszła normalna książka.

– Najlepiej podsumowują to komentarze w stylu: „Myślałem, że to żart Baczala, a ta książka jest na serio". Nakład prawie się sprzedał, zostały chyba ostatnie egzemplarze. Poszło nieźle i wydaje mi się, że na samym Twitterze by się tego nie udało zrobić. Byli też ludzie spoza bańki: recenzje na Instagramie, na Lubimy Czytać. Generalnie pozytywne, może bardziej u tych, którzy mnie znają i wiedzą, że pewne rzeczy nie są pisane całkiem serio. Komentarze negatywne się zdarzają, ale nie było ich dużo. Wydawca chyba jest zadowolony, bo sam pytał, kiedy drugi tom. Na razie mogę tylko podziękować, że ludzie chcą wydawać pieniądze na mnie i na to, co napisałem. Za to kupiłem sobie myszkę, klawiaturę i będę pisał więcej.

> GDYBYM PISAŁ TRZECI TOM TERAZ, BYŁBYM BARDZO WTÓRNY WOBEC PIERWSZEGO I DRUGIEGO. MUSZĘ SIĘ ROZPISAĆ CZYMŚ INNYM I WYDAĆ COŚ ZUPEŁNIE NIEZWIĄZANEGO Z CZERNIĄ.

– A pies Sworzeń coś dostał?

– Standardowo smaczki. Ale to raczej z budżetu smaczkowego,

eprasa.pl 850b49e09b

niekoniecznie z bonusu za książkę. Budżetu smaczkowego się nie narusza.

– Widzisz dla siebie szansę na nagrodę Zajdla?

– Nie. Zajdel jest trudny, bo najpierw trzeba zostać nominowanym przez specyficzne grono ludzi. Gdyby to była nagroda publiczności i wystarczyło kliknąć „Baczal", może tak, choć inni autorzy mają jeszcze większe zasięgi. Poza tym konkurowałbym z Radkiem Rakiem, Robertem Wegnerem, może z Andrzejem Sapkowskim. To oznaczałoby wejście do mainstreamu. Myślę o swojej literaturze jako o literaturze pociągowej: wsiadasz w Krakowie, wysiadasz w Gdyni, czytasz i myślisz: „Spoko, bardzo fajna podróż. Dziękuję, panie Marianie, do zobaczenia za rok". Zajdel kojarzy mi się z fantastyką wysoką, a moim zamiarem był przede wszystkim fun. Wystarczy mi nagroda czytelników w postaci dwustu sprzedanych egzemplarzy do 15 lipca.

PIERWSZY TOM JEST STRASZNIE MROCZNY I SMUTNY. UZNAŁEM, ŻE NADZIEI SIĘ NIE DA, ALE CZARNEGO HUMORU MOŻNA DORZUCIĆ.

– „Zaczernienie" ma bardzo otwarte zakończenie. Rozumiem, że to zostawienie pola pod kontynuację.

– Musiało tak być. Zwykle zaczynam książkę od notatek i scenopisu. Scenopis do „Zaczernienia" miał około trzydziestu kilku scen, czyli mniej więcej 350 stron. Kiedy zacząłem rozpisywać trzeci tom, wyszło mi podobnie. Miałem więc wybór: uciąć drugi tom w fajnym miejscu albo zrobić kobyłę na 650 stron. Uciąłem więc w otwartym miejscu, ale samo zakończenie uważam za dobre. W trzecim tomie będzie się działo. Muszę jeszcze zdecydować, czy chcę zakończenia optymistycznego, czy pesymistycznego.

– A wcześniej napiszesz coś innego?

– Stanowczo tak. Muszę odpocząć. Nie dlatego, że świat czerni jest tak mroczny, że mnie przytłacza – to byłaby bzdura. Po prostu gdybym pisał trzeci tom teraz, byłbym bardzo wtórny wobec pierwszego i drugiego. Muszę się rozpisać czymś innym i wydać coś zupełnie niezwiązanego z czernią. A potem, za dwa lata, triumfalnie zakończymy „Źródło czerni". Mam nadzieję, że już bez literówki w tytule.

– To będzie nadal fantastyka?

– Tak. Fantastyka jest dla mnie sposobem spędzania wolnego czasu i przyjemnością samą w sobie. Myślałem o książce historycznej, ale ona wymaga dużego researchu. Wiem, bo „Gwiazda na Wschodzie", moja opowieść o Trzech Królach, wciąż jest rozbebeszona. Kiedy wróciłem do niej, zobaczyłem w niej idealną definicję próbowania na siłę. Te zdania trzeba napisać po raz drugi, a może i trzeci. Pomyślałem, że ja też muszę mieć radość z pisania. Dlatego kolejna książka będzie raczej fantastyczna, pewnie znowu historia alternatywna. Mam na nią pomysł, scenopis się pisze. Jeśli się uda, może w przyszłym roku będzie gotowa. Historia alternatywna. Potężna, naftowa Polska.

– W takim razie czekamy. Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę Ci nie dwustu, ale tysiąca dwustu egzemplarzy do 15 lipca.

– „Źródło czerni" sprzedawało się nieźle przez cały rok, zwłaszcza że w międzyczasie pojawił się audiobook czytany przez Rysława. Gdyby do 15 lipca wynik był dobry, byłbym bardzo zadowolony. Kupujcie, żeby mnie zadowolić.

– I zadowolić siebie przede wszystkim. Dziękuję za rozmowę. Rozumiem, że za rok porozmawiamy o kolejnej książce.

– Mam nadzieję. Ale to raczej w grudniu.

KOLEJNA KSIĄŻKA BĘDZIE RACZEJ FANTASTYCZNA, PEWNIE ZNOWU HISTORIA ALTERNATYWNA. JEŚLI SIĘ UDA, MOŻE W PRZYSZŁYM ROKU BĘDZIE GOTOWA.

– Będzie akurat zimno.

Marian Baczal – absolwent UJ, prawnik związany z branżą nowych technologii, autor mikrobloga na portalu X, łączący geostrategiczną analizę z zamiłowaniem do polskiej fantastyki. Dumny mieszkaniec Małopolski, uzdolniony treser berneńskich psów pasterskich, entuzjasta pracy zdalnej i gier komputerowych.

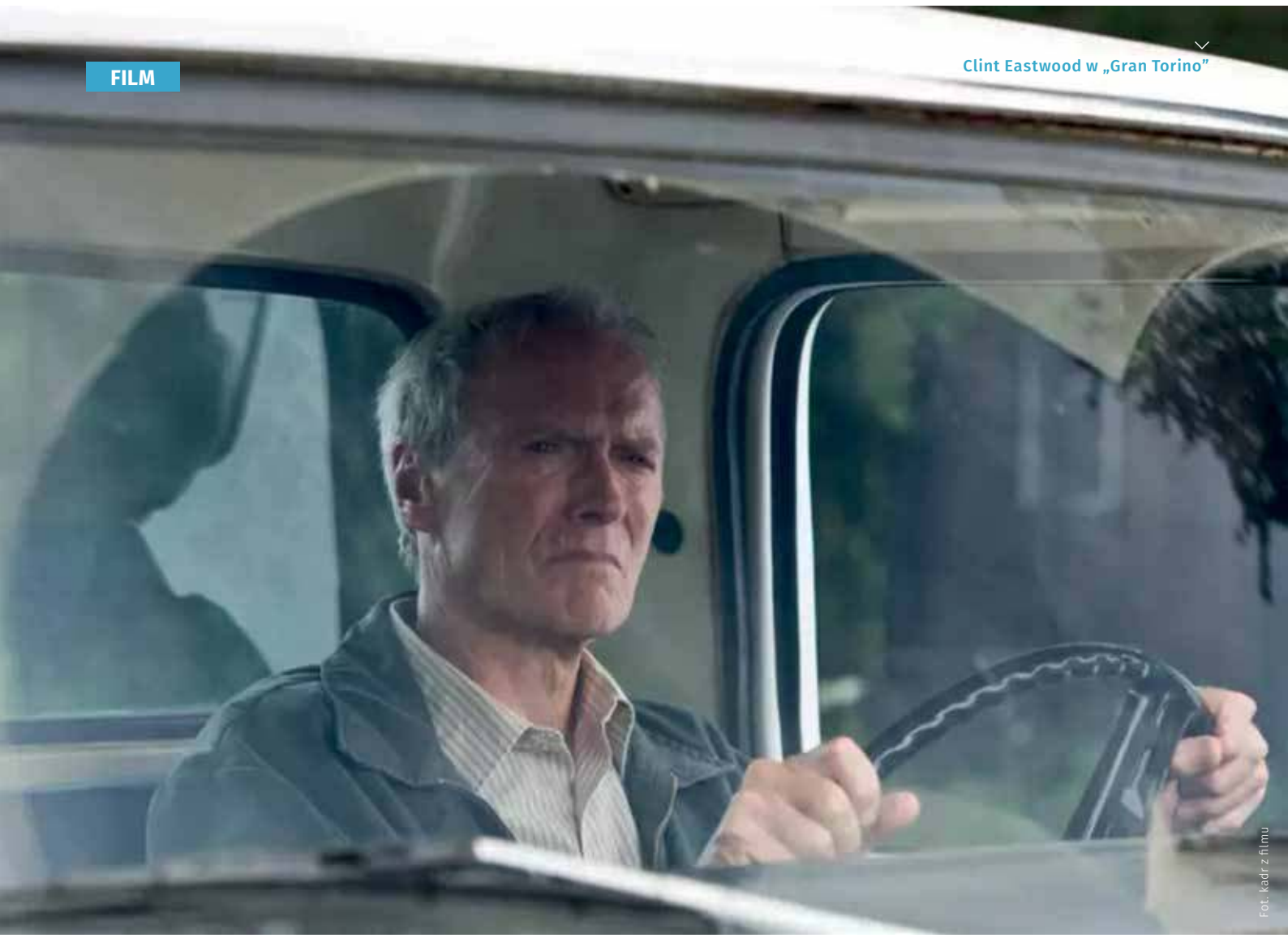
eprasa.pl 850b49e09b

Clint Eastwood lubi Polaków?

Polskie wątki w hollywoodzkich filmach **zazwyczaj** nie były dla nas pochlebne. Polaków przedstawiano jako alkoholików, prymitywów albo wręcz jako współpracowników niemieckich współodpowiedzialnych za Holokaust. Wyjątkiem są jednak bohaterowie filmów wyreżyserowanych przez Clinta Eastwooda. W jego dziełach wyraźnie czuć sympatię dla naszego narodu.

Agnieszka Żurek

FILM



Clint Eastwood w „Gran Torino”

Fot. kadr z filmu

eprasa.pl 850b49e09b

Z czego to wynika? „Już od dzieciństwa drażnili mnie ludzie, którzy mi mówili, jak mam żyć” – powiedział wybitny amerykański reżyser i aktor w wywiadzie dla magazynu „USA Weekend”. Być może właśnie te cechy charakteryzujące Polaków, czyli buntownicza natura i umiłowanie wolności, na tyle spodobały się Eastwoodowi, że postanowił je uwiecznić w swoich filmach. „Ostatnio wszyscy po cichu mieli dosyć politycznej poprawności. Żyjemy w pokoleniu całującym wszystkim tyłki. Żyjemy w pokoleniu ciot. Wszyscy chodzą po skorupkach jajek. Ludzie oskarżają się o bycie rasistami. Gdy ja dorastałem, pewne rzeczy nie były nazywane rasizmem” – powiedział kilka lat temu reżyser. Także i ta konstatacja brzmi nieco „po polsku” i równie dobrze możemy wyobrazić sobie, że sformułował ją nie Clint Eastwood, ale pan Mieczysław z Lubelszczyzny.

Chłopska mądrość kowboja

To połączenie „chłopskiej mądrości”, szorstkiego języka, ale i zdrowego rozsądku oraz kryjącego się pod maską twardziela dobrego serca to wypisz wymaluj cechy Walta Kowalskiego, głównego bohatera głośnego i bardzo dobrze przyjętego filmu Eastwooda pt. „Gran Torino”. W rolę Kowalskiego, Amerykanina o polskich korzeniach, wcielił się zresztą sam reżyser i odegrał ją tak przekonująco, że trudno nie odnieść wrażenia, iż po prostu sprawiało mu to przyjemność. Filmowy Kowalski to weteran wojny w Korei, sfrustrowany i „zdziadziały” konserwatysta, mający nawet opinię rasisty, z niechęcią wypowiadający się o „czarnych” i „żółtkach”. Po śmierci ukochanej żony zamyka się w sobie, pije piwo na tarasie i odpędza potencjalnych intruzów, strasząc ich strzelbą. Jedyną pasją Kowalskiego staje się jego wypieszczone auto, tytułowy Ford Gran Torino. Pod tym szorstkim wizerunkiem kryje się jednak człowiek prawy i szlachetny, a nawet heroiczny. Kiedy życie stawia przed nim dramatyczne wyzwania, nie waha się ani chwili, by zaryzykować wszystkim w obronie słabszych. Dla młodego, zagubionego chłopaka, którego poznaje na swojej drodze, staje się wzorem męskości, ucząc go, co znaczą niemodne we współczesnym świecie, a jednak zapewniające życiowy azymut pojęcia, takie jak honor, odpowiedzialność czy odwaga. Walt Kowalski to także przykład człowieka, któremu trudno nawinąć makaron na uszy. Swoje wie. Nie ulega modom, nie zależy mu na dobrej opinii otoczenia. Bywa nieznośny, męczący, uparty, ale kiedy życie mówi: sprawdzam, staje na wysokości zadania i zdaje egzamin z człowieczeństwa.

„Chcę, żeby ludzie czerpali z kina coś więcej”

Podobne cechy jak Walt Kowalski z „Gran Torino” wykazuje inny, tym razem drugoplanowy bohater kolejnego świetnego filmu w reżyserii Eastwooda. „Przysięgły nr 2” to film z 2024 roku, który niedawno trafił na platformę Netflix. Przyjemnie jest obejrzeć dzieło nie tylko dobrze wyreżyserowane i zagrane, ale przede wszystkim dające do myślenia, niebanalne, dotykające głębi moralnych dylematów, a nie skupiające się jedynie na zapewnieniu widzowi dawki adrenaliny, a reżyserowi – pieniędzy. Na marginesie, Clint Eastwood, choć, nie ukrywajmy, nie jest człowiekiem biednym, nie traktuje sztuki filmowej jako środka do osiągnięcia celu finansowego. Dzieje się raczej odwrotnie – sukces komercyjny jest tutaj raczej „produktem ubocznym” świetnego efektu artystycznego. Reżyser jest zresztą znany z tego, że budżety na jego filmy nie są nigdy rozdęte i że zazwyczaj nie tylko ich nie przekracza, ale wręcz nie wypełnia. „Film kosztował 31 milionów dolarów? Mając takie pieniądze, mógłbym dokonać inwazji na jakiś kraj” – zażartował kiedyś amerykański reżyser. Odnosząc się do tematyki swoich dzieł, powiedział z kolei: „Nie chcę kopiować bieżących trendów ani robić kina dla nastolatków. Chcę, żeby ludzie czerpali z kina coś więcej”. I tak jest w istocie. „Przysięgły nr 2” to film dotykający najgłębszych kwestii – rozumienia tego, czym jest człowieczeństwo, co to znaczy odpowiedzialność, jakie są konsekwencje naszych wyborów i jak bardzo nasz fasadowy wizerunek może różnić się od tego, co ukrywamy wewnątrz. Tytułową rolę w filmie Eastwooda zagrał (i to świetnie!) Nicholas Caradoc Hoult znany z kultowej komedii romantycznej „Był sobie chłopiec”. Z kolei w rolę Harolda Chicowskiego, Amerykanina polskiego pochodzenia, wcielił się Jonathan Kimble Simmons. Chicowski to w „Przysięgłym nr 2” bohater drugiego planu, jednak kluczowy dla rozwoju akcji i dla puenty filmu. To emerytowany policjant,

HOLLYWOOD TO NIE TYLKO PRZEMYSŁ ROZRYWKOWY, ALE TAKŻE POTĘŻNY OŚRODEK POLITYKI HISTORYCZNEJ.

eprasa.pl 850b49e09b

facet po przejściach, niekoniecznie brylujący na świeczniku, raczej działający zakulisowo, ale bardzo skutecznie. Widać w nim te same cechy, którymi Eastwood obdarzył Kowalskiego z „Gran Torino" – pozorną szorstkość, niezbyt magnetyczną aurę, a jednocześnie uczciwość, bystrość i bezkompromisowość w ważnych sprawach.

> ***Nie chcę kopiować bieżących trendów ani robić kina dla nastolatków. Chcę, żeby ludzie czerpali z kina coś więcej.***
>
> CLINT EASTWOOD

Wydaje się, że Eastwood zauważył w Polakach to, czego my sami często nie tylko nie doceniamy, ale co często wręcz traktujemy jak wadę i czego się wstydzimy. Amerykański reżyser świetnie wyłapał tę zadziorną, czasem irytującą, nutkę polskiego „kowboja" i uwiecznił ją w swoich filmach, umiejscawiając nas tym samym w pewien sposób w „tradycji westernowej", do której polska dusza i historia pasują wręcz idealnie.

„Nieznana wojna Hollywood"

Tej samej nuty zdają się wstydzić rodzimi reżyserzy, z uporem maniaka próbując kupić sobie „przepustkę do wielkiego świata" kreśleniem filmowego wizerunku Polaka buraka, prymitywa, a najlepiej rasisty czy antysemity. Taką „gębę" dorabiała nam „Ida" Pawła Pawlikowskiego, podobne przesłanie niosła „Zielona granica" Agnieszki Holland. W najbardziej znanych produkcjach Hollywood polskie wątki praktycznie nie istnieją w oderwaniu od wątków żydowskich, jak choćby w filmie „Wybór Zofii", w „Liście Schindlera", „Niepokonanym" czy „Pianiście". Hollywood to nie tylko przemysł rozrywkowy, ale także potężny ośrodek polityki historycznej mający moc kształtowania PR-u oraz budowania i obalania stereotypów narodowych. Po II wojnie światowej w Hollywood nakręcono około 440 filmów o Holokauście. Niestety w niektórych z nich pojawiały się krzywdzące dla Polski i Polaków stereotypy, wobec których nasz kraj pozostawał przez długie lata bezbronny, nie mając żadnych możliwości PR-owych jako obszar de facto okupowany przez ZSRR i zdradzony przez jałtańskich „sojuszników". Co ciekawe, antypolska propaganda w Hollywood istniała już w czasie II wojny światowej, o czym pisze w książce „Nieznana wojna Hollywood przeciwko Polsce 1939–1945" historyk i politolog z Central Connecticut State University profesor Mieczysław B. Biskupski. Badacz wskazuje, że antypolska propaganda była wówczas potrzebna Stalinowi, z którym zachodnie władze zawarły pakt kosztem naszego kraju. Po wojnie amerykański przemysł filmowy chętnie wchłaniał polskie talenty, pod warunkiem jednak, że będą realizować cele Hollywood. Marzenia polskich konserwatystów o tym, żeby w amerykańskiej wytwórni powstawały filmy opowiadające o najważniejszych wydarzeniach polskiej historii z amerykańskim rozmachem, wydają się nie uwzględniać wspomnianego wyżej faktu, iż Hollywood nie jest de facto niezależną wytwórnią filmową, ale gigantyczną machiną PR-ową o wieloletniej historii. Coś jednak z polskiego ducha niejako „niechcący" się tam przebiło, o czym świadczą choćby wątki z filmów Clinta Eastwooda. Inna sprawa, że Hollywood przeżywa raczej swój zmierzch niż erę świetności, także nie ma chyba sensu walczyć o znalezienie tam swojego miejsca. Nie zmienia to faktu, że polska historia jest kopalnią inspiracji dla twórców, szczególnie tych, którzy zmęczeni wszechobecną propagandą i polityczną poprawnością zafascynują się polskim duchem, w którym walka o wolność ma domieszkę ułańskiej fantazji, dobroć miesza się z naiwnością, a pozorny upór potrafi dać pierwszeństwo odruchowi serca.

CECHY CHARAKTERYZUJĄCE POLAKÓW, CZYLI BUNTOWNICZA NATURA I UMIŁOWANIE WOLNOŚCI, NA TYLE SPODOBAŁY SIĘ EASTWOODOWI, ŻE POSTANOWIŁ JE UWIECZNIĆ W SWOICH FILMACH.

eprasa.pl 850b49e09b

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

THE ROLLING STONES – FOREIGN TONGUES
WYD. UNIVERSAL



Stonsi po raz kolejny udowadniają, że wiek nie odbiera ani energii, ani umiejętności pisania chwytliwych piosenek. „Foreign Tongues" to album, na którym klasyczny rock'n'roll spotyka się z bluesem, soulem i współczesnym brzmieniem. Mick Jagger pozostaje charyzmatycznym narratorem, a Keith Richards i Ronnie Wood z charakterystyczną swobodą prowadzą gitarowe dialogi. Nie wszystkie utwory mają potencjał stać się koncertowymi klasykami, jednak całość imponuje spójnością i autentycznością. To płyta dla fanów ceniących doświadczenie, naturalność i muzyków.

BRING ME THE HORIZON – COUNT YOUR BLESSINGS | REPENTED
WYD. SONY MUSIC



Powrót do debiutanckiego materiału w odświeżonej formule nie jest jedynie sentymentalną podróżą. „Count Your Blessings | Repented" zachowuje brutalność i chaos oryginału, jednocześnie oferując brzmienie lepiej dopracowane. Dzięki temu agresywne riffy, blast beaty i charakterystyczny krzyk Olivera Sykesa zyskują nową dynamikę. Album przypomina, jak daleką drogę przeszła grupa, ale też jak silne były fundamenty jej stylu. To wydawnictwo skierowane przede wszystkim do wiernych fanów oraz miłośników deathcore'u, którzy chcą usłyszeć klasyczny materiał w nowoczesnym wydaniu, bez utraty jego bezkompromisowego charakteru.

ADAM LAMBERT – ADAM
WYD. MORE IS MORE LLC



Płyta „ADAM" to materiał pełen emocji, teatralności i nowoczesnej produkcji. Imponujący głos Lamberta pozostaje największym atutem – z łatwością przechodzi od subtelnych, intymnych fragmentów do efektownych, niemal operowych kulminacji. Album łączy elektroniczny pop, taneczne rytmy i rockową ekspresję, zachowując przy tym spójny charakter. Teksty dotyczą samoakceptacji, relacji i poszukiwania własnego miejsca. „ADAM" pokazuje artystę świadomego swoich możliwości, który nie boi się eksperymentować, jednocześnie pozostając wierny własnemu stylowi.

FINN WOLFHARD – FIRE FROM THE HIP
WYD. AWAL RECORDINGS



Znany przede wszystkim jako aktor Finn Wolfhard coraz śmielej buduje swoją pozycję na muzycznej scenie. „Fire From the Hip" to album pełen gitarowego indie rocka, lo-fi i alternatywnej wrażliwości. Nie imponuje rozmachem produkcji, ale właśnie w tej surowości tkwi jego największy urok. Melodie są naturalne, a piosenki sprawiają wrażenie spontanicznych i szczerych. Wolfhard nie próbuje udowadniać niczego na siłę – stawia na autentyczność, młodzieńczą energię i prostotę kompozycji. Dzięki temu album brzmi świeżo i wiarygodnie, pokazując, że jego muzyczne ambicje są czymś znacznie więcej niż dodatkiem do kariery aktorskiej.

eprasa.pl 850b49e09b

Ludzie wolności i Solidarności

NIE MIAŁEM żadnych wzorców niepodległościowych

Od dziecka harcerz, dziś harcmistrz. Już jako piętnastolatek **Tomasz Pękalski** był kolporterem ulotek i prasy niezależnej. Cztery lata później został wiceprzewodniczącym konspiracyjnej struktury w Wołominie; Oddziałowej Komisji Wykonawczej NSZZ „S”. W trzeciej klasie liceum musiał zmienić szkołę, był ścigany za kolportaż ulotek, choć nie posiadano dowodu, że je kolportował. Wystarczyło... podejrzenie.

Mateusz Wyrwich



Fot. Mateusz Wyrwich

eprasa.pl 850b49e09b

Historia i harcerstwo były jego pasjami, od kiedy pamięta. Ich rozwinięcie zawdzięczał ojcu, który choć był w PZPR, podsuwał mu przedwojenne książki.

– Nie miałem w dziadach, pradziadach ludzi walczących o niepodległość. Wśród przodków byli sklepikarze czy rzemieślnicy. Jeden z nich miał dużą firmę krawiecką w Warszawie. Później przeniósł się do Wołomina, w którym prowadził również szkołę krawiecką. Jeździliśmy z ojcem, można tak powiedzieć, zwiedzać polską historię. Woził mnie w miejsca znaczące dla przeszłości. Na przykład przez kilka dni zwiedzaliśmy Kraków, mieszkając naprzeciwko Wawelu w Trabancie ojca. Bez wątpienia te podróże miały wpływ na moją postawę patriotyczną – mówi Tomasz Pękalski, dziś przedsiębiorca i prezes Towarzystwa Skautowego Horn.

Opowieści o Powstaniu Warszawskim i żołnierzach były w jego środowisku codziennością, a powstańcy bohaterami z krwi i kości, fundamentem, na którym Tomasz budował przyszłość Polski. Już jako harcerz spotkał się z powstańcami czy żołnierzami podziemia niepodległościowego. Od 1980 roku, jako czternastolatek, był formowany w kręgu instruktorów harcerskich imienia Andrzeja Małkowskiego.

– Nasi instruktorzy byli bardzo związani z Solidarnością bądź formacjami niepodległościowymi – wspomina Tomasz Pękalski. – Mieliśmy przedwojenne mundury i jeździło się na Floriańską w Krakowie, by kupić lilijki na wzór tych przedwojennych. Podobnie guziki. U nas generalnie był kult przedwojennego harcerstwa. Zacząłem jako zuch, a już w drugiej klasie szkoły średniej założyłem własną drużynę. Był u nas kult Powstania Warszawskiego. Myśmy byli w Powstaniu Warszawskim zakochani. I chyba wtedy najsilniej kształtowała się moja postawa patriotyczna.

Rok 1980 był dla Tomasza odkrywaniem Polski patriotycznej. Jako harcerz jeździł na dotąd zakazanie uroczystości związane z historią kraju. Między innymi na odsłonięcie Pomnika Ofiar Czerwca 1956 w Poznaniu, a także Pomnika Poległych Stoczniowców 1970 roku w Gdańsku. Podróżował również w Góry Świętokrzyskie, by poznać losy partyzantów czasu niemieckiej i antysowieckiej partyzantki. Dowiadywał się o historii Polski tak jeszcze niedawnej, a nieznanej. Nieomal dotykalnej. Rozmawiał z uczestnikami minionego czasu.

– Jestem podekscytowany powstaniem Solidarności, bo jest to coś zupełnie nowego. Ludzie zaczynają mówić o wydarzeniach, które były dotychczas tajemnicą. Wychodzi w druku wiele relacji i książek o Katyniu, również sowieckiej okupacji – wspomina Tomasz Pękalski. – Bardzo mi imponuje to, że w jakimś sensie dokładamy Ruskim. Oczywiście, nie mam jako czternastolatek czy piętnastolatek jakichś większych przemyśleń, czegoś w rodzaju, że zmieniamy świat. Nie. Obserwowałem to trochę z boku na swoim poziomie. I zupełnie nie wiązałem Solidarności z niepodległością.

Najważniejsze dla Tomasza było czasopismo Kręgu Instruktorów Harcerskich „Bratnie słowo”. Stamtąd czerpał niezależną wiedzę historyczną oraz inspiracje do działania w odnowie harcerstwa. Było dla niego najistotniejszym forum dyskusyjnym o niezależności ruchu i patriotycznej wspólnocie. Podobnie jak największym wydarzeniem 1981 roku dla Tomasza stał się wrześniowy zlot kilku tysięcy harcerzy z okazji 70-lecia polskiego harcerstwa na Błoniach Krakowskich. To ogromne patriotyczne zgromadzenie zorganizowane przez „niepokornych instruktorów” z udziałem przedwojennych harcerzy nawiązujących do zlotu w Spale w 1935 roku. Wydarzenie związane było z reformą harcerstwa w 1981 roku, zrzucaniem komunistycznego pancerza, w jaki ubrany był ZHP. Stało się kolejnym przełomowym momentem w patriotycznym dojrzewaniu młodzieńca.

– Niebagatelnym też wydarzeniem była lokalna Msza Święta pod koniec 1981 roku w wołomińskim Kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej – opowiada Tomasz Pękalski. – To było wydarzenie historyczno-tożsamościowe. Z religią zawsze byłem związany. Nie przypominam sobie, bym opuścił niedzielną Mszę. Chodziłem na pielgrzymki. Ta Msza była czymś wyjątkowym. Proszę sobie wyobrazić: wchodzi do świątyni dwustu harcerzy. Jak na filmie „Hubal”. To było coś niewiarygodnego w naszym niewielkim Wołominie. Ogromna duma i wzruszenie. Myślę, że te półtora roku narodowej wolności, a szczególnie końcówka 1981 roku, były dla mnie czasem ogromnego skoku w patriotycznym

HISTORIA I HARCERSTWO BYŁY JEGO PASJAMI, OD KIEDY PAMIĘTA. ICH ROZWINIĘCIE ZAWDZIĘCZAŁ OJCU, KTÓRY CHOĆ BYŁ W PZPR, PODSUWAŁ MU PRZEDWOJENNE KSIĄŻKI.

eprasa.pl 850b49e09b

dojrzewaniu. Również intelektualnym i emocjonalnym. Niemałą rolę odegrał też w moim życiu ksiądz Jan Sikora, podpułkownik AK, symbol walki o niepodległość. Przed wojną harcerz, w czasie wojny żołnierz Szarych Szeregów. Bardzo ważną postacią był też nauczyciel z wołomińskiego liceum Henryk Drzewiński. Również żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych. Mówił bardzo wiele o historii, ale przede wszystkim uczył nas, jak być porządnym człowiekiem.

W stanie wojennym Tomasz Pękalski bez wielkich rozważań postanawia podjąć działalność opozycyjną. Koledzy harcerze zaczynają dystrybuować „bibułę". On również. Zastanawia się, czy wybuchnie powstanie, czy nie? Jeździ na każdą demonstrację w Warszawie. Niebawem nawiązuje przez swojego rówieśnika Tomasza Roguskiego kontakt z Federacją Młodzieży Walczącej. Z Warszawy przyjeżdża do Wołomina z plecakiem pełnym ulotek i prasy podziemnej, zaopatrując najprężniej działające Zakłady Stolarki Budowlanej w Wołominie oraz pomniejsze przedsiębiorstwa w okolicy. Prasa trafia też do wojskowych zakładów „ZANTEN". W wołomińskim liceum demonstracyjnie nosi „opornik", który jest symbolem sprzeciwu wobec wprowadzenia stanu wojennego oraz internowania i aresztowania działaczy „S". Rozrzuca antykomunistyczne ulotki i wkłada je do szkolnych gablot. Niebawem znajduje się wśród podejrzanego „szkolnego elementu antysocjalistycznego". Służba Bezpieczeństwa dokonuje pierwszej rewizji – jeszcze nie w mieszkaniu, ale w jego harcówce. Nie znajduje tam jednak nielegalnych druków.

– Po rewizji nie zatrzymywali mnie. Owszem, przesłuchiwali, ale nie zatrzymywali. Dyrektor szkoły wzywał mnie wielokrotnie do gabinetu, a była to pierwsza klasa liceum. Kawałek drugiej, bo od tego momentu już mnie próbowali wyrzucić ze szkoły. Cały czas byłem podejrzany – mówi. – Dyrektor wezwał mojego ojca do szkoły i powiedział: „Tomek matury tu nie zrobi, bo on jest harcerzem i różne rzeczy umie robić".

Po wyrzuceniu z wołomińskiego liceum rozpoczął naukę w praskim. Dzięki Roguskiemu nawiązał kontakty z dużo starszymi, doświadczonymi działaczami opozycji: Henrykiem Wujcem i Janem Lityńskim. Bywa na wykładach historycznych prowadzonych przez działaczy KOR czy NSZ, również na spotkaniach prowadzonych dla opozycyjnie nastawionej młodzieży w Warszawie czy w kraju. Sam też organizuje wykłady historyków, ekonomistów dla wołomińskich aktywistów podziemia – także z ludźmi podziemia: Zbigniewem Bujakiem, Janem Lityńskim, Jackiem Kuroniem, Zbigniewem Romaszewskim, Anatolem Lawiną. W połowie lat 80. rozpoczyna studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim.

– Uczestniczyłem też w wykładach konspiracyjnych dotyczących bezpieczeństwa, czyli tego, jak się zachować podczas przesłuchania – opowiada. – Prowadzili je Henryk Wujec, Anatol Lawina, Wojciech Giełżyński i inni. Z Giełżyńskim rozmawialiśmy o historii. Z Lawiną o sprawach organizacyjno-technicznych. O prawie z Romaszewskim. W 1985 roku byłem, razem z moją przyszłą żoną, na szkoleniu, które organizowali Wujec i Federacja Młodzieży Walczącej w Zamościu. Dotyczyło ono spraw organizacyjnych. Zjechało kilkanaście osób z całej Polski. Mieliśmy wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Niektórzy byli nawet młodsi. Chłopcy, dziewczęta. Czytaliśmy literaturę podziemną. Omawiało się ją na tych spotkaniach. Słowem – tworzono z nas podziemne kadry.

W 1985 roku Tomasz Pękalski z miejscowymi działaczami organizuje w Wołominie konspiracyjną strukturę „S" o nazwie Oddziałowa Komisja Wykonawcza NSZZ „S". Jej przewodniczącym zostaje Waldemar Różycki. Pękalski zostaje jego zastępcą. Rozpoczyna się ożywiona

W STANIE WOJENNYM TOMASZ PĘKALSKI BEZ WIELKICH ROZWAŻAŃ POSTANAWIA PODJĄĆ DZIAŁALNOŚĆ OPOZYCYJNĄ.

W 1985 ROKU ORGANIZUJE Z MIEJSCOWYMI DZIAŁACZAMI W WOŁOMINIE KONSPIRACYJNĄ STRUKTURĘ „S" O NAZWIE ODDZIAŁOWA KOMISJA WYKONAWCZA NSZZ „S".

eprasa.pl 850b49e09b

działalność kolporterska. Pokazują się na murach hasła antykomunistyczne. Wydawane i kolportowane są nowe gazety. Z konspiracyjnych, miejscowych już wcześniej ukazywały się: „Kurier Wołomiński", „Biuletyn Informacyjny Wołomin", „Głos Wołomina", „Biuletyn Robotniczy Wołomin, Zielonka, Kobyłka", „Serwis Informacyjny Regionu Wołomińskiego". Jedne z pewną regularnością, inne nie. Dystrybuowane w kilkuset egzemplarzach. Na terenie miasta działało też wiele konspiracyjnych drukarni pracujących na potrzeby bezdebitowych wydawnictw czy gazet ogólnopolskich, m.in. „Tygodnika Wojennego", „Samorządnej Rzeczpospolitej" „Tygodnika Mazowsze", „KOS".

W 1988 roku, podczas strajków w Polsce, Jacek Kuroń kieruje Tomasza Pękalskiego do pomocy strajkującym górnikom w Jastrzębiu-Zdroju. Pomocy związanej z prowadzeniem zespołu dziennikarsko-drukarskiego.

– Zaczynało strajk dziesięć tysięcy osób, a skończyły 132. Było do pomocy kilka osób z Warszawy. Wydawaliśmy coś w rodzaju biuletynu strajkowego. W związku z tym, że potrafiłem pisać na maszynie, to pisałem. Również redagowałem – wspomina Tomasz Pękalski. – Spałem na krzesłach. Przez te dziesięć dni nagadałem się z górnikami. Poznałem ich trochę. Na kopalni prawie nie było doradców. Strajk wyglądał zupełnie inaczej niż w Gdańsku. Tam były zachodnie kamery, doradcy znani jeszcze z 1980 roku. Najróżniejsze dary od ludzi z kraju i zagranicy. U nas było biednie. Jedliśmy to, co przynieśli ludzie. W pewnym momencie pojawił się Lech Wałęsa. Górnicy umęczeni, a Wałęsa namawiał ich, by zakończyć strajk. Strajkujący chcieli go wywieźć na taczkach. Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. Dla mnie Wałęsa to był bohater. Nie rozumiałem, dlaczego chce zamknąć strajk. Nie wiedziałem, że mają się odbyć obrady Okrągłego Stołu. Skończyliśmy strajkować z początkiem września. No i z tego strajku wzięła się moja odwaga. Po powrocie do Wołomina założyłem w swoim mieszkaniu jawne Biuro Oddziału Wołomin NSZZ „Solidarność" Mazowsze. Po strajkach na Wybrzeżu, Pomorzu Zachodnim i na Śląsku uwierzyłem, że Solidarność będzie mogła działać legalnie. Niestety, poróżniłem się z członkami naszej struktury podziemnej. Uważali, że jest to z mojej strony fanfaronada, że zbyt wcześnie podjąłem tę decyzję. 11 listopada z kolegami zorganizowałem też manifestację w Wołominie. Wygłosiłem przemówienie i zostałem zatrzymany przez SB. Ale już wielkie represje mnie nie spotkały. Przesłuchano mnie, przesiedziałem dobę „na dołku" i ukarano mnie grzywną przez Kolegium ds. wykroczeń.

W 1988 ROKU, PODCZAS STRAJKÓW W POLSCE, JACEK KUROŃ KIERUJE TOMASZA PĘKALSKIEGO DO POMOCY STRAJKUJĄCYM GÓRNIKOM W JASTRZĘBIU-ZDROJU.

Podczas obrad Okrągłego Stołu Tomasz Pękalski został dziennikarzem podziemnego i niebawem legalnego Serwisu Informacyjnego Solidarności (SIS).

– Całkowicie akceptowałem obrady Okrągłego Stołu – mówi. – Uważałem, że zawsze coś da się ugrać z komunistami. Odwieszenie czy legalizacja „S" to będzie kolejny krok. Zupełnie nie rozumiałem działaczy Solidarności Walczącej, którzy uważali, że nie należy rozmawiać z komunistami. Sceptycznie spojrzałem na obrady Okrągłego Stołu, kiedy szukano kandydatów na posłów i senatorów podczas wyborów i zupełnie zlekceważono naszą wołomińską kandydaturę. Doradcy „S" Mazowieckie, Geremki, Wielowiejskie itp. mieli swoich kandydatów. Narzucono kandydata zupełnie nam nieznanego. Interweniowałem u Wujca, ale moja siła sprawcza była żadna. To była już wielka polityka. Wybory do parlamentu uważałem za ogromny sukces, bo pokazaliśmy komunistom naszą siłę. Ale kiedy jesienią zobaczyłem, co się dzieje w „demoludach", to już uważałem, że może trzeba było ugrać więcej. No i kolejnym rozczarowaniem było ponowne głosowanie na „listę krajową". Uważałem to za jawne oszustwo. Jednak kiedy Mazowiecki został premierem – tak na marginesie: urodziła nam się pierwsza córka – byłem przekonany, że wywalczyliśmy kawał wolności. Pytałem: „To o to walczyliśmy?", ale też nie miałem na to wpływu. Z drugiej strony tłumaczyłem sobie: „Są mądrzejsi. To wielka polityka, ale będzie Solidarność". I nie myślałem jeszcze wtedy, że będzie niepodległa Polska. Uważałem, że nadal będzie komuna, ale mniej opresyjna.

Po legalizacji NSZZ „S" w 1989 roku Tomasz Pękalski został przewodniczącym Oddziału Wołomin RKW Mazowsze w Wołominie. W tym samym roku wszedł w skład Prezydium Zarządu Regionu NSZZ „S" Mazowsze. W 1991 roku zrezygnował z działalności związkowej i zajął się przedsiębiorczością. Bo – jak podkreśla – bliżej mu było do działacza niepodległościowego i przedsiębiorcy niż związkowca.

eprasa.pl 850b49e09b

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

STĄD RUSZYŁA LAWINA.
46. rocznica Lubelskiego Lipca



Fot. M. Żegliński

Fala protestów, która przeszła do historii pod nazwą Lubelskiego Lipca 1980, rozpoczęła się 8 lipca w zakładach PZL -Świdnik, gdzie po kilku dniach udało się podpisać pierwsze w PRL-u porozumienie pomiędzy strajkującymi robotnikami a władzami państwa. W ślad za tym sukcesem podążyli robotnicy ze 150 zakładów pracy na Lubelszczyźnie, a w protesty włączyło się łącznie około 40 tysięcy osób. 16 lipca do strajku przystąpili kolejarze, którzy doprowadzili do sparaliżowania lubelskiego węzła kolejowego, przez co ruch pociągów przez Lublin został na dwa dni zablokowany. Bezpośrednim powodem protestów była podwyżka cen wędlin i mięsa.

Tegoroczne obchody Lubelskiego Lipca działacze Solidarności rozpoczęli od złożenia kwiatów pod Krzyżem Wdzięczności, przy którym swoje przemówienia wygłosili Bartłomiej Mickiewicz, wiceprzewodniczący „S”, oraz Ireneusz Pszczoła, szef Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „S”.

– Liczba pocztów sztandarowych, delegacje z innych regionów to najlepsze, co mogliśmy zrobić dla uczestników wydarzeń Lipca 1980. Tak, jak stąd ruszyła lubelska lawina, tak cała Polska przyjechała za tę lawinę wam podziękować – mówił przewodniczący Pszczoła.

Wiceszef Solidarności podkreślał z kolei, że godność pracownika i godność człowieka „nie są dane raz na zawsze”: – Nie tak dawno musieliśmy jako Solidarność walczyć o miejsca pracy, o ludzi, ich rodziny i to nie w kontekście wyższych wynagrodzeń, tylko w kontekście tego, żeby nie zostali zwolnieni. Niestety, zostali zwolnieni, i mówię tutaj o strukturze właśnie kolejarskiej o PKP Cargo. [...] Wiem, że z obecnymi władzami PKP Cargo związkowcy, pracownicy prowadzą dialog i myślę, że to dzięki temu właśnie w tej chwili zaczynamy wychodzić na prostą – zaznaczył Mickiewicz.

Potem uczestnicy obchodów udali się na Mszę Świętą do parafii Najświętszego Serca Jezusowego, a po Eucharystii zgromadzili się pod Pomnikiem Doli Kolejarskiej na terenie byłej lokomotywowni, gdzie 16 lipca zastrajkowali kolejarze. Tam głos zabrał Czesław Niezgoda, który przewodniczył strajkowi w lubelskiej lokomotywowni. Powiedział, że strajkujący „zapragnęli żyć w wolnej, niezależnej, katolickiej Ojczyźnie” i że nie godzili się na „fałszowanie historii i walkę z Panem Bogiem”. Pod pomnikiem odczytano również list od prezydenta Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 850b49e09b


Fot. M. Zegliński

„Ja już wielokrotnie to mówiłem i powtarzam: przesunięcie katastrofy to w dalszym ciągu jest katastrofa. Nic się nie zmienia, ewentualnie odciągnęliśmy troszeczkę katastrofę w czasie”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceszef „S” o propozycji rewizji systemu ETS, Radio Wnet, 20 lipca br.

„Podczas lipcowych protestów na Lubelszczyźnie tworzono komitety strajkowe, podjęto próbę powołania komitetu ponadzakładowego. Znacznie rozszerzono też listę postulatów. Do powtarzanych od dawna żądań lepszej organizacji pracy, waloryzacji płac i obniżki cen żywności dodano m.in. postulaty wprowadzenia wszystkich sobót wolnych, faktycznej likwidacji przywilejów socjalnych dla wojska i milicji oraz pociągnięcia do odpowiedzialności winnych zapaści gospodarczej. [...] Lubelski Lipiec ’80 stanowił niejako wstęp do Sierpnia ’80, do porozumień sierpniowych, do rejestracji pierwszego niezależnego od reżimu związku zawodowego oraz do ostatecznej kapitulacji czerwonych uzurpatorów w roku 1989 – czyli do zwycięstw, w których znaczący udział mieli także mieszkańcy Lubelszczyzny” – napisał prezydent w liście do uczestników obchodów.

Wcześniej na placu przed dworcem w Lublinie otwarto wystawę IPN pt. „Zaczęło się w Lipcu. «Solidarność» w Regionie Środkowo-Wschodnim 1980–1989”, która przedstawia historię tamtejszej Solidarności, począwszy od lipcowych strajków aż do politycznego przełomu roku 1989. Z ekspozycją będzie można zapoznać się do 18 sierpnia.

UDANE NEGOCJACJE W CZECHOWICKIM T.ERRE POLSKA

MOZ NSZZ „Solidarność” FCA Poland podpisała z udziałem mediatora porozumienie kończące spór zbiorowy w firmie T.ERRE Polska w Czechowicach-Dziedzicach.

Spotkania mediacyjne odbyły się 18 czerwca oraz 17 lipca. Na drugim spotkaniu udało się podpisać umowę, w której pracodawca zobowiązał się do wprowadzenia podwyżki minimalnej płacy gwarantowanej dla każdego pracownika spółki w wysokości 250 zł brutto od 1 lipca 2026 roku.

Ponadto od lipca spółka zgodziła się na wprowadzenie podwyżki dodatku stażowego. Ustalono też dwa nowe progi za 15 lat pracy (stawka dodatku wyższa o 90 zł miesięcznie) i 20 lat pracy (dodatek wyższy o 120 zł miesięcznie).

Jak przekazała Solidarność, dzięki podwyżce wynagrodzeń i dodatku stażowego osoby z najdłuższym stażem w firmie otrzymają nawet 470 zł brutto więcej miesięcznie niż dotychczas.

W porozumieniu zapisano także, że w ostatnim kwartale tego roku strona związkowa i pracodawcy spotkają się, by poddać analizie możliwość wypłacenia dodatkowej premii jednorazowej w kwocie 200 zł brutto na pracownika za brak absencji chorobowej/zasiłkowej w grudniu 2026 roku.

– Rozmowy płacowe w czechowickim T.ERRE rozpoczęły się w lutym 2026 roku. Wówczas dyrekcja zaproponowała okrągłe „zero złotych” podwyżki. To sprawiło, że nasza Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność” w walce o godziwe wynagrodzenia pracowników T.ERRE uruchomiła procedurę sporu zbiorowego – relacjonował przewodniczący Solidarności w FCA Poland Grzegorz Maślanka.

– Przyniosło to podwyżkę stawek MPG w równej wysokości dla każdego zatrudnionego oraz dodatku stażowego, które łącznie – w przypadku pracowników o najdłuższych stażu i doświadczeniu – łącznie oznaczają wzrost wynagrodzeń o 470 zł miesięcznie. Przy czym tylko nasza Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność” w walce o wyższe wynagrodzenia sięgnęła po najcięższy związkowy oręż przewidziany przez prawo i weszła w spór zbiorowy w czechowickim T.ERRE. Inni woleli stać z boku i (ponoć) kibicować – skomentował przewodniczący Maślanka.

T.ERRE Polska powstała w 2003 roku. Firma zajmuje się produkcją przewodów dla przemysłu motoryzacyjnego.

M.K.

Kalendarium Solidarności

3.08.1981 – rozpoczyna się trzydniowa blokada ronda u zbiegu ul. Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich w Warszawie przez Solidarność. Protest wywołała decyzja władz o obniżeniu przydziału mięsa na kartki, a następnie uniemożliwienie przejazdu przez centrum miasta kolumny samochodów z transparentami „Chcecie pracy – dajcie jeść” czy „Nie niszczcie narodu”.

eprasa.pl 850b49e09b

Przewodniczący NSZZ „S” w Instytucie Pileckiego:

„Marzymy o normalnej, spokojnej pracy”

– Kiedy odrzuci się polityczne etykiety i propagandowe opowieści kolejnych dyrekcji, okazuje się, że wszystkie najważniejsze osiągnięcia Instytutu – właśnie te programy, archiwa dokumentów i historii mówionej, setki wydarzeń naukowych, kulturalnych i edukacyjnych, wystawy w Warszawie, Augustowie czy Berlinie – to wszystko jest efektem ogromnego wysiłku pracowników. Ludzi, którzy wykonują swoją pracę nie dzięki kolejnym dyrektorom, ale pomimo nich – mówi **Wojciech Saramonowicz**, przewodniczący NSZZ „Solidarność” w Instytucie Pileckiego, w rozmowie z **Barbarą Michałowską**.



Fot. arch. rozmówcy

eprasa.pl 850b49e09b

– Ponad 150 z około 200 pracowników Instytutu Pileckiego podpisało się pod listem otwartym skierowanym do minister kultury Marty Cienkowskiej, w którym wyrażacie poparcie dla p.o. dyrektora Karola Madaja. Dlaczego w ogóle napisaliście taki list?

– Ostatecznie podpisało się 159 osób. To prawie 80 procent wszystkich pracowników Instytutu. Podpisy zebraliśmy w ciągu zaledwie trzech godzin i to w okresie urlopowym. Była to absolutnie spontaniczna akcja wywołana docierającymi do nas niepokojącymi informacjami czy też pogłoskami, że w ministerstwie pojawił się wniosek o odwołanie wciąż pełniącego obowiązki dyrektora Karola Madaja.

Ponieważ Karol Madaj został powołany przez panią minister Martę Cienkowską we wrześniu 2025 roku na rok, pogłoski o jego wcześniejszym odwołaniu bardzo nas zaskoczyły i zaniepokoiły. Tym bardziej że ogromnie liczyliśmy na coś zupełnie przeciwnego – że pani minister powoła go na normalną, pięcioletnią kadencję dyrektora Instytutu.

– Tak szerokie poparcie pracowników dla dyrektora nie jest normą. Powiedzmy sobie szczerze: wobec wcześniejszych szefów często wyrażaliście się sceptycznie.

– Tak. Ten wynik jest z pewnością olbrzymim wotum zaufania dla Karola Madaja, ale mówi też o czymś więcej. Pokazuje stan emocji czy też – mówiąc wprost – poziom frustracji ogromnej części pracowników Instytutu. Frustracji narastającej od lat.

Żeby ją zrozumieć, trzeba cofnąć się do czasów powstania Instytutu. Od 2017 roku szefów Instytutu powoływano i odwoływano siedem razy. Każda zmiana oznaczała nowe pomysły, nowe priorytety, nowe reorganizacje, nowe oczekiwania i kolejne miesiące niepewności.

Formalnie dyrektora Instytutu powołuje minister kultury. Ale od początku faktyczne rządy sprawowała Magdalena Gawin, która była wtedy wiceministrem. To ona wymyśliła Instytut i nie mam wątpliwości, że bez niej nigdy by nie powstał. Gawin kochała Instytut i robiła wszystko dla jego wielkości. Miała ogromne ambicje, wielką determinację i sporo pomysłów. Ale jednocześnie trudno było oprzeć się wrażeniu, że buduje Instytut przede wszystkim na własną chwałę. Instytut Pileckiego to opus magnum Magdaleny Gawin. Nie znosiła, kiedy ktokolwiek inny próbował mieszać się w jej „dzieło życia". Dlatego dyrektor Instytutu nie miał być samodzielnym szefem instytucji. Był potrzebny przede wszystkim do realizowania wyznaczonych przez nią wizji i celów.

Kiedy więc dodamy do tego apodyktyczność, przekonanie o własnej nieomylności, brak empatii, wybuchowość, chaotyczność, niecierpliwość, obcesowość i protekcjonalne traktowanie ludzi, to buduje nam pełniejszy obraz warunków i środowiska pracy w Instytucie.

Pierwszego formalnego szefa Instytutu, Jerzego Rohozińskiego, Gawin odwołała już po trzech miesiącach, niezadowolona z tempa organizacji Instytutu. Tyle samo czasu trwała misja kolejnej szefowej, Moniki Cornell. Dłużej udało się utrzymać stanowisko dopiero sprawniejszemu organizacyjnie i zawsze uległemu wobec wyższej instancji Wojciechowi Kozłowskiemu.

W tamtym czasie Kozłowski, a szczególnie jego zastępczyni, Anna Gutkowska, starali się pełnić rolę bufora między Gawin a pracownikami. Brali na siebie część jej emocji i presji, próbowali łagodzić konflikty, tonować jej oczekiwania oraz przekładać kolejne, często gwałtownie formułowane pomysły na zadania, które dało się rzeczywiście wykonać. Nie zawsze było to możliwe, ale dzięki nim przynajmniej część napięć nie docierała bezpośrednio do pracowników.

Ten układ skończył się w 2021 roku. Magdalena Gawin straciła stanowisko podsekretarza stanu i sama została dyrektorką Instytutu.

– To wtedy założyliście Solidarność?

– Tak. Po roku oglądania, jak pracownicy są pomiatani, jak na każdym cotygodniowym spotkaniu kierowników kolejny nieszczęśnik jest przez półtorej godziny grillowany przy milczącym przerażeniu pozostałych, po codziennym obcowaniu z chaosem decyzyjnym, zmiennością nastrojów, humorów, z intrygami, dzieleniem zespołu, napuszczaniem na siebie ludzi, pacyfikowaniem każdego głosu sprzeciwu, mieliśmy już dosyć. Chcieliśmy o naszym niezadowoleniu móc mówić głośno. Założyliśmy instytutową Solidarność. Od razu wstąpiło do niej ponad 30 proc. pracowników Instytutu.

Kilka tygodni później działalność w Instytucie rozpoczął drugi związek zawodowy – NSZZ Solidarność 80,

CHCIELIŚMY O NASZYM NIEZADOWOLENIU MÓC MÓWIĆ GŁOŚNO. ZAŁOŻYLIŚMY INSTYTUTOWĄ SOLIDARNOŚĆ. OD RAZU WSTĄPIŁO DO NIEJ PONAD 30 PROC. PRACOWNIKÓW INSTYTUTU.

eprasa.pl 850b49e09b

na którego czele stanęli pełnomocnik dyrektora do spraw programowych oraz asystentka pani dyrektor. Od tej pory, kiedy składaliśmy do dyrekcji wnioski dotyczące spraw pracowniczych, najczęściej słyszeliśmy, że „pani dyrektor skłania się do stanowiska organizacji związkowej Solidarność 80".

Ostatni okres rządów Magdaleny Gawin był dla wielu pracowników koszmarem. Ludzie czuli się sekowani i zastraszani. Jednych podpuszczano przeciwko drugim. Wiele osób, w tym członkowie naszej komisji zakładowej, doświadczyło szykan. Dla kilkorga skończyło się to rozstrojem nerwowym. Wielu pracowników zostało zmuszonych do odejścia.

– Po zmianie władzy dyrektorem Instytutu został profesor Krzysztof Ruchniewicz. Czy pracownicy odczuli zmianę?

– Przed Krzysztofem Ruchniewiczem przez osiem miesięcy p.o. dyrektorem był Wojciech Kozłowski. Liczył, że nowe ministerstwo zostawi go, uznając za człowieka znającego się na Instytucie, a szczególnie na jego zagranicznych oddziałach.

Ale ministerstwo postawiło na wrocławskiego profesora Krzysztofa Ruchniewicza, który już w pierwszych dniach urzędowania zapowiedział, że nikomu z zatrudnionych na umowy na czas określony nie zostanie ona przedłużona. Oznaczało to, że w najbliższych miesiącach pracę straci ok. 30–40 proc. pracowników. Był koniec listopada. Jako Komisja Zakładowa poszliśmy do niego i prosiliśmy – właściwie błagaliśmy – żeby nawet jeśli nie chce wycofać się z tej decyzji, to przynajmniej przesunął ją na styczeń. Chodziło głównie o bardzo młodych ludzi. Za chwilę były święta, a oni mieli zostać bez pracy i bez pieniędzy. Ruchniewicz pozostał głuchy na nasze argumenty. Później, podczas spotkania opłatkowego, zamiast życzeń pracownicy usłyszeli, że „z niektórymi osobami dyrekcja już się rozstała, a z innymi rozstanie się wkrótce".

Do pracowników zatrudnionych na czas określony doszło zablokowanie umów ze współpracownikami, no i zwolnienia tych, którzy się nie podobali.

Ruchniewicz kontynuował koszmarną dyrektorską tradycję grillowania ludzi na zebraniu kierowników. Chociaż często, gdy się „odpalił", dostawało się wszystkim. Miał jednak osoby, które niszczył planowo. Szczególnie haniebnie traktował nasze koleżanki i kolegów z Berlina. Doprowadził zresztą do wyrzucenia szefowej tamtejszego oddziału, Hanny Radziejowskiej, i jej zastępcy, Mateusza Fałkowskiego. Na całe szczęście chwilę później sam został wyrzucony, więc oboje mogli do nas wrócić.

Ciekawe, że kierownictwo pod wodzą Krzysztofa Ruchniewicza budowało swoje plany przede wszystkim na krytyce dotychczasowego dorobku Instytutu. Wszystko, co powstało wcześniej, przedstawiano jako politycznie podejrzane i wymagające gruntownej zmiany. Problem w tym, że przez osiem miesięcy rządów dyrekcja nie stworzyła właściwie żadnego istotnego nowego programu czy choćby projektu. Co więcej, wszystko, czym zaczynali się chwalić, było kontynuacją projektów rozpoczętych dużo wcześniej.

> APODYKTYCZNOŚĆ, PRZEKONANIE O WŁASNEJ NIEOMYLNOŚCI, BRAK EMPATII, WYBUCHOWOŚĆ, CHAOTYCZNOŚĆ, NIECIERPLIWOŚĆ, OBCESOWOŚĆ I PROTEKCJONALNE TRAKTOWANIE LUDZI – TO OBRAZ WARUNKÓW, KTÓRE TOWARZYSZYŁY PRACY W INSTYTUCIE.

– Czyli te programy i projekty nie były takie złe?

– I to jest sedno sprawy. Bo kiedy odrzuci się polityczne etykiety i propagandowe opowieści kolejnych dyrekcji, okazuje się, że wszystkie najważniejsze osiągnięcia Instytutu – właśnie te programy, archiwa dokumentów i historii mówionej, setki wydarzeń naukowych, kulturalnych i edukacyjnych, wystawy w Warszawie, Augustowie czy Berlinie – to wszystko jest efektem ogromnego wysiłku pracowników. Ludzi, którzy wykonują swoją pracę nie dzięki kolejnym dyrektorom, ale pomimo nich.

To przecież pracownicy, a nie dyrektorzy każdego dnia upamiętniają ofiary totalitaryzmów, dokumentują historię, gromadzą relacje świadków, prowadzą badania naukowe, przygotowują wystawy, piszą i wydają książki i tworzą projekty edukacyjne. I potrafią ze sobą współpracować pomimo różnic światopoglądowych, bo łączy ich pasja, świadomość misji Instytutu i odpowiedzialność za wykonywaną pracę. I rzetelność.

Podziały nie powstawały między pracownikami. To kolejne dyrekcje zaczynały dzielić ludzi na „swoich" i „obcych". Tylko wraz ze zmianą dyrektorów zmieniała się definicja tego, kto był w danym momencie „swój", a kto stawał się politycznie podejrzany.

eprasa.pl 850b49e09b

– Co takiego Karol Madaj może zaoferować pracownikom, czego inni nie mogli albo nie chcieli im dać?

– Myślę, że już zaoferował. Dziesięć miesięcy normalności i spokoju. Może to brzmi banalnie, ale po tych wszystkich doświadczeniach marzymy o normalnej i spokojnej pracy. Wydaje mi się, że o tym właśnie mówi 80-procentowe poparcie dla Karola Madaja.

Madaj rozmawia z ludźmi. Słucha. Nie traktuje każdego odmiennego zdania jako ataku na siebie albo przejawu nielojalności. Nie zarządza przez strach. Nie grilluje. Nie traktuje Instytutu jako swojego folwarku. Po prostu traktuje pracowników jak ludzi i partnerów.

Wydaje się, że naprawdę rozumie, że to pracownicy są największym kapitałem instytucji. Ludzie, którzy od lat prowadzą badania, piszą i wydają książki, budują archiwa, nagrywają świadków historii, robią filmy, przygotowują wystawy, prowadzą projekty edukacyjne w setkach szkół i propagują polską historię w kraju i za granicą, to wysokiej klasy specjaliści w swoich dziedzinach, ludzie kreatywni i twórczy, bardzo oddani temu, co robią, i bardzo świadomi misji Instytutu. Madaj to wie i potrafi wykorzystać te zasoby. Jest menedżerem z prawdziwego zdarzenia. Nie profesorem, który uważa, że tytuł naukowy automatycznie daje mu umiejętność zarządzania setkami ludzi. Zarządzanie instytucją wymaga innych kompetencji niż pisanie książek naukowych.

Normalność i spokój – chyba o tym marzą pracownicy Instytutu Pileckiego.

– A członkowie NSZZ „Solidarność" w Instytucie Pileckiego?

– Myślę, że jako organizacja związkowa po raz pierwszy na poważnie zaczynamy rozmawiać z dyrekcją o problemach, które dotyczą właściwie wszystkich pracowników sektora kultury: o wynagrodzeniach, o przejrzystych zasadach płacowych, o możliwościach rozwoju zawodowego i przewidywalności zatrudnienia, ale też o kulturze pracy, poczuciu bezpieczeństwa pracowników. Tak jak wszystkim pracownikom zrzeszonym w Sekcji Muzeów i Instytucji Ochrony Zabytków NSZZ „Solidarność" marzy nam się układ zbiorowy, który stwarzałby trwałe ramy dialogu z dyrekcją. Wierzę, że z teraz jest szansa na takie porozumienie i że Instytut mógłby być jednym z pionierów wśród instytucji kultury w takich właśnie rozwiązaniach.

– W przyszłym roku odbędą się wybory. Czy nie obawiacie się, że wówczas znowu dojdzie do zmiany dyrektora?

– Oczywiście, że się obawiamy. Ale właśnie dlatego zwróciliśmy się do pani minister Marty Cienkowskiej z apelem o powołania Karola Madaja na pełną, pięcioletnią kadencję. Oczywiście nie ma gwarancji, że po ewentualnej zmianie władzy nie zostanie odwołany w połowie kadencji. Ale istnieje cień szansy, że apolityczny menedżer i fachowiec będzie mógł kontynuować misję i zapewnić Instytutowi stabilną, długofalową działalność.

Znamy nazwiska osób pojawiających się na giełdzie ewentualnych kandydatów, którzy mieliby już teraz zastąpić Madaja. W moim pojęciu są to osoby wyraźnie manifestujące światopogląd czy też sympatie polityczne. Wiemy więc, co się stanie w przypadku zmiany opcji rządzącej. A wizja kolejnych dwóch dyrektorów w ciągu najbliższego roku jest dla nas przerażająca: znowu każdy przyjdzie z przekonaniem, że wie najlepiej, czym powinien być Instytut, więc wszystko należy przewrócić do góry nogami, a do tego zatrudnić nowych ludzi. Znowu zacznie się nauka instytucji, tłumaczenie, jak ona działa, jakie mamy procedury, jakie zobowiązania, jakie projekty są w toku i dlaczego pewnych rzeczy nie da się zmienić z dnia na dzień. A kiedy wreszcie pozna Instytut… zostanie odwołany. Siedem razy to przerabialiśmy.

– Czy można doprowadzić do sytuacji, w której polityka nie wpływa tak bardzo na działania Instytutu? Czy w ogóle jest to możliwe?

– Owszem. Byłoby to możliwe, gdyby na stanowisko dyrektora Instytutu był rozpisany rzetelny konkurs. Taka instytucja potrzebuje stabilności, kadencyjności i przejrzystych zasad powoływania dyrektora. To oczywiste dla wszystkich, nawet polityków. Niestety polskich polityków nie stać na wzniesienie się ponad partyjne interesy. Strasznie to smutne. A najbardziej dojmujące jest to, że politycy, którzy prześcigają się w tym, czyja opcja jest bardziej demokratyczna, kiedy mają do czynienia z prawdziwym głosem ludzi – a głos 159 z 200 pracowników to jest wyraźny głos ludzi – zupełnie to lekceważą.

No ale cóż… My tu, w Instytucie, jesteśmy specjalistami od pamięci.

TO PRACOWNICY, A NIE DYREKTORZY, KAŻDEGO DNIA UPAMIĘTNIAJĄ OFIARY TOTALITARYZMÓW, DOKUMENTUJĄ HISTORIĘ.

Wojciech Saramonowicz – scenarzysta, kierownik Działu Historii Mówionej i Produkcji Filmowych Instytutu Pileckiego, przewodniczący zakładowej Solidarności.

eprasa.pl 850b49e09b

„Czas pustych deklaracji dobiegł końca”. Pracownicy Azotów nie chcą już zaciskać pasa

Solidarność ogłosiła pogotowie strajkowe w spółkach Grupy Azoty. Związkowcy mówią, że do tej pory **wykazywali zrozumienie** dla trudnej sytuacji przedsiębiorstwa, godząc się na wyrzeczenia finansowe, ale zamiast partnerstwa otrzymali pozorowany dialog. Azotom ciąży wielomiliardowy dług, ale pracownicy nie chcą już dłużej zaciskać pasa. Nie widzą poprawy sytuacji, dlatego weszli z pracodawcami w spór zbiorowy.

Marcin Krzeszowiec



Fot. arch. Grupa Azoty S.A. (Tarnów)

eprasa.pl 850b49e09b

Lider krajowego rynku nawozowego Grupa Azoty znajduje się w poważnym kryzysie finansowym. Już niedługo przedsiębiorstwo skupiające 56 spółek pozbędzie się ze swojego portfolio jednej z największych inwestycji. Mowa o Polimerach Police, który to zakład w trzecim kwartale tego roku ma trafić pod skrzydła państwowego Orlenu. Dzięki tej transakcji zadłużenie Azotów zmniejszy się o 4,7 mld zł. Do spłaty pozostanie jednak nadal gigantyczna kwota 13,5 miliarda złotych.

– Sama jego obsługa to gigantyczne koszty, gigantyczne zapotrzebowanie na wyprodukowaną gotówkę, żeby ten dług obsłużyć, nie mówiąc już o jego spłacie. [...] Ten dług wynika w zasadzie z jednej przeskalowanej i nietrafionej inwestycji z 2017 roku – Polimery Police. W zasadzie cały dług jest wynikiem tej jednej inwestycji, która obciąża dzisiaj Grupę i sprawia, że mamy związane ręce, jeśli chodzi o inwestycje w rozwój naszego core segmentu, jakim są nawozy – argumentował prezes Grupy Azoty Marcin Celejewski w podcaście Business Insider Polska.

– Jesteśmy skonsolidowani tym długiem. My już dzisiaj nie jesteśmy w stanie funkcjonować oddzielnie. Wszystkie spółki z Grupy są elementem, poręczeniem, są całością, są zaangażowane w ten dług, który cała Grupa i wszystkie spółki muszą po prostu spłacić bądź zrestrukturyzować – zaznaczył szef koncernu.

Polskiego giganta zatrudniającego około 14 tysięcy pracowników osłabiał w ostatnich latach także narastający import tanich nawozów z Rosji i Białorusi. Presja konkurencyjna była poważna, bo kluczowy surowiec do produkcji nawozów, czyli gaz, był na Wschodzie o wiele tańszy. Od lipca 2025 roku udało się jednak wprowadzić w Unii Europejskiej stopniowe podwyżki ceł na nawozy ściągane z tych państw.

Zagraniczne nawozy – w przeciwieństwie do naszych – były także wolne od obciążeń wynikających z unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji. System ETS stanowi poważny problem dla firm nawozowych, ponieważ nie rozgranicza tego, że przy produkcji nawozów gaz ziemny jest nie tylko źródłem energii, ale także częścią produktu.

– Gaz z jednej strony wykorzystujemy do pozyskania energii, ale w znaczącej części, np. w przypadku amoniaku, ponad 60 procent tego gazu wraca do fizycznego produktu. [...] Natomiast nasze obciążenia związane z ETS-em nie uwzględniają tego, że my tego surowca po prostu nie przepalamy i on w 100 procentach nie idzie na emisje, tylko de facto jest zawracany w wyrafinowanych procesach. To jest kolejny element, chociażby żeby w ogóle Grupę Azoty jako producenta nawozów wyłączyć z tej wspólnej polityki, nawet ETS-owej – zaznaczył prezes Celejewski w rozmowie z portalem Farmer.pl podczas 18. Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

GRUPA AZOTY ZNAJDUJE SIĘ W POWAŻNYM KRYZYSIE FINANSOWYM. NAWET PO SPRZEDAŻY POLIMERÓW POLICE FIRMIE POZOSTANIE DO SPŁATY GIGANTYCZNA KWOTA 13,5 MLD ZŁ.

Pogotowie strajkowe

Zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji finansowej Grupy Azoty, związkowcy zgodzili się na zawieszenie niektórych kosztochłonnych postanowień ZUZP – oznacza to, że załoga nie otrzymuje niektórych nagród, a odpisy na Fundusz Socjalny zostały zmniejszone o 50 procent do ustawowego poziomu. Takie porozumienia zawarto w Grupie Azoty oraz zakładach w Policach, Kędzierzynie-Koźlu oraz Puławach w 2024 roku. Ustalono wtedy, że zawieszenia te będą obowiązywać do końca 2026 roku.

„Przez trzy lata pracownicy Grupy Azoty wykazywali odpowiedzialność i zrozumienie dla trudnej sytuacji przedsiębiorstwa. Znosiliśmy zamrożenie wynagrodzeń, spadek ich realnej wartości oraz zawieszenie części zapisów Zakładowych Układów Zbiorowych Pracy, licząc na uczciwy dialog i wyprowadzenie Grupy Azoty z kryzysu. Zamiast partnerstwa otrzymaliśmy: pozorowany dialog, lekceważenie naszych postulatów i pomysłów oraz jednostronne decyzje. Czas pustych deklaracji dobiegł końca” – oświadczyli rozgoryczeni działacze Solidarności, ogłaszając w lipcu pogotowie strajkowe w spółkach Grupy Azoty w Tarnowie, Kędzierzynie-Koźlu, Policach, Puławach i Siarkopolu.

Cztery żądania

Związkowcy z NSZZ „Solidarność” w porozumieniu z innymi organizacjami związkowymi z Grupy

eprasa.pl 850b49e09b

Azoty sformułowali cztery „wspólne i fundamentalne warunki powrotu do konstruktywnej współpracy" z kierownictwem koncernu.

Pierwszy z nich dotyczy polityki płacowej i podwyżek płac o 1500 zł netto dla wszystkich pracowników Grupy Azoty nie później niż od września 2026 roku, i to z wyrównaniem od 1 czerwca. „Żądamy natychmiastowego zaprzestania unikania odpowiedzialności za politykę wynagrodzeń, przeciągania rozmów, wprowadzania niejasnych i nieuzgodnionych ze związkami zawodowymi regulacji płacowych i tworzenia stanowisk nieistniejących w strukturach organizacyjnych" – napisali związkowcy.

Ich kolejnym postulatem jest odwieszenie – również od września – wszystkich zawieszonych postanowień Zakładowych Układów Zbiorowych Pracy i przywrócenie świadczeń z nich wynikających. „W świetle informacji o przeznaczeniu w 2025 roku przez Zarząd Grupy Azoty niemal 100 milionów złotych na zewnętrzne usługi doradcze i prawne dalsze utrzymywanie ZUZP w zawieszeniu jest niemożliwe. Nie ma naszej zgody na oszczędności kosztem pracowników przy jednoczesnej rozrzutności zarządu" – zaznaczyli.

W trzecim punkcie związkowcy wyrazili kategoryczny sprzeciw wobec wdrażania zmian w strukturze organizacyjnej Spółki bez realnych konsultacji i uzgodnień ze stroną społeczną przed oficjalnym ogłoszeniem decyzji. „Do czasu przeprowadzenia realnych konsultacji zaopiniowania i uzgodnienia propozycji zmian przez stronę społeczną we wszystkich zakładach Grupy Azoty wszystkie już wprowadzone zmiany struktury organizacyjnej powinny zostać wstrzymane i cofnięte, a wprowadzanie kolejnych natychmiastowo wstrzymane" – oświadczyli przedstawiciele pracowników.

Ostatnim żądaniem strony społecznej jest terminowe i pełne przekazywanie informacji niezbędnych do prowadzenia działalności związkowej, między innymi tych dotyczących zmian w zatrudnieniu czy planowanych zmian organizacyjnych. „Informacje powinny być przekazywane przed podjęciem decyzji przez Pracodawcę w terminach umożliwiających przeprowadzenie rzeczywistych konsultacji oraz zajęcie stanowiska przez Organizacje Związkowe" – podkreślili.

> ***Zamiast partnerstwa otrzymaliśmy: pozorowany dialog, lekceważenie naszych postulatów i pomysłów oraz jednostronne decyzje. Czas pustych deklaracji dobiegł końca.***
>
> KOMUNIKAT SOLIDARNOŚCI W GRUPIE AZOTY

W poszczególnych spółkach Grupy Azoty: w Kędzierzynie-Koźlu, Policach, Puławach, Siarkopolu i Tarnowie, do tych czterech filarów związkowcy dołączyli kolejne postulaty, bardziej szczegółowe i równie ważne dla ich zakładów pracy. Obejmują one takie sprawy jak np. regulacja dodatków stażowych i zmianowych, nagrody jubileuszowej i motywacyjnej, skrócenie czasu pracy czy przeprowadzenie audytu BHP oraz sprawności instalacji i urządzeń pod kątem bezpieczeństwa. Pisma ze wszystkimi postulatami trafiły na biurko prezesa Grupy Azoty Marcina Celejewskiego.

„To jest po prostu dramat"

Związkowcy wyznaczyli pracodawcom 7 dni na spełnienie ich żądań. Gdy to się nie stało, weszli w spory zbiorowe. Pierwsze rozmowy w etapie rokowań zbiorowych zaplanowano na 28 lipca.

– Od trzech lat kierownictwo udaje, że w Azotach nie ma problemów pracowniczych, ale dla nas to jest po prostu dramat. W ciągu dwóch lat pensje pracowników zdezawuowały się o średnio 4000 złotych! Jak oni chcą uratować firmę i spłacić dług, jeżeli zabili całkowicie zaangażowanie wśród ludzi? Oni myślą, że pozyskają pracowników dla przemysłu chemicznego za najniższą krajową – powiedział nam Artur Jasiński, przewodniczący Solidarności w Grupie Azoty.

Jego zdaniem, w spółkach panuje kolesiostwo, a kadra kierownicza nie ma ochoty i kompetencji, by wyprowadzić nawozowego giganta z kryzysu, w jakim się znalazł.

– Zarząd i menedżerowie zajmują się samymi sobą. Nie odpowiadają na pisma, mamy utrudniony dostęp do informacji, a co najgorsze – ci ludzie nie mają w ogóle kompetencji, żeby zarządzać tymi spółkami. Oni czekają tylko do wyborów. Mówią, że sytuacja się poprawia, tylko że w ciągu dwóch lat zadłużenie wzrosło z 10 do 18 mld zł. Tak to wygląda – skwitował przewodniczący Jasiński.

eprasa.pl 850b49e09b

PRAWO

ODDAJ NASZ DOM.
Czy prawo daje możliwość odzyskania darowanej nieruchomości?

Kilka lat temu wraz z mężem podarowaliśmy synowi dom. Miał się nami opiekować i pozwolić nam mieszkać w nim do końca życia. Nie wiemy, co się stało, ale dziś twierdzi, że dom jest jego, wymienił zamki i powiedział, że mamy szukać sobie **innego miejsca**. W związku z tym zastanawiamy się, czy można odwołać darowiznę?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Przekazanie dzieciom domu lub mieszkania to jedna z najczęściej podejmowanych decyzji majątkowych w polskich rodzinach. Niestety, zdarza się, że po podpisaniu aktu notarialnego relacje rodzinne ulegają pogorszeniu, a rodzice zaczynają żałować swojej decyzji. Czy w takiej sytuacji prawo daje możliwość odzyskania nieruchomości? Kodeks cywilny przewiduje możliwość odwołania darowizny już wykonanej, ale tylko w wyjątkowych przypadkach. Zgodnie z art. 898 Kodeksu cywilnego jest to możliwe w razie rażącej niewdzięczności obdarowanego wobec darczyńcy. Nie oznacza to jednak, że każda rodzinna kłótnia lub zerwanie kontaktu wystarczy do odzyskania domu. Rażąca niewdzięczność to zachowanie szczególnie naganne. Sądy zaliczają do niej m.in. przemoc wobec darczyńcy, uporczywe znieważanie, porzucenie ciężko chorego rodzica, świadome wyrządzenie mu poważnej krzywdy czy odmowę elementarnej pomocy w sytuacji, gdy była ona oczywiście potrzebna. Każda sprawa wymaga jednak indywidualnej oceny. Warto pamiętać również o terminie. Darczyńca może odwołać darowiznę tylko w ciągu roku od dnia, w którym dowiedział się o zachowaniu uzasadniającym jej odwołanie. Po upływie tego czasu uprawnienie co do zasady wygasa. W praktyce wiele osób błędnie uważa, że wystarczy udać się do notariusza i „cofnąć akt darowizny". Nie jest to możliwe. Jeżeli obdarowany nie uzna odwołania darowizny i nie przeniesie własności z powrotem dobrowolnie, konieczne jest skierowanie sprawy do sądu. To sąd oceni, czy rzeczywiście doszło do rażącej niewdzięczności i czy zachodzą przesłanki do odzyskania nieruchomości. Takie postępowanie wymaga również odpowiednich dowodów. Mogą nimi być zeznania świadków, korespondencja, nagrania, dokumentacja medyczna czy wyroki zapadłe w sprawach karnych lub rodzinnych. Samo subiektywne przekonanie darczyńcy, że został źle potraktowany, zwykle nie wystarczy do wygrania procesu. Opisana sytuacja pokazuje także, jak ważne jest odpowiednie zaplanowanie przekazania majątku. W wielu przypadkach korzystniejszym rozwiązaniem niż zwykła darowizna jest umowa dożywocia. W przeciwieństwie do darowizny nakłada ona na nabywcę konkretne obowiązki wobec zbywcy, takie jak zapewnienie mieszkania, wyżywienia, pomocy w chorobie czy sprawienie pogrzebu zgodnie z miejscowymi zwyczajami. Często warto również ustanowić służebność osobistą mieszkania, która zabezpiecza prawo do dalszego zamieszkiwania w nieruchomości niezależnie od zmiany właściciela.

Najważniejsza rada jest prosta, zanim przepiszemy cały majątek dzieciom, warto pomyśleć nie tylko o zaufaniu do najbliższych, ale również o własnym bezpieczeństwie prawnym. Dobrze przygotowana umowa może uchronić rodzinę przed wieloletnim i kosztownym sporem sądowym. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 850b49e09b

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



Nasi autorzy

Sławomir Jastrzębowski (Katarzyny..., s. 34),
był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Marek Nowak (Paternalistyczny..., s. 48),
publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

Magdalena Okraska (Jednorazowi, s. 5),
publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha!art) w roku 2022.

Tomasz Oleksiewicz (Prawo, s. 73),
jest radcą prawnym. Od roku 2016 jeden z gospodarzy naszej tysolowej kolumny porad prawnych. Zawodowo związany z administracją państwową.

Ludwik Pęzioł (Wspomnienie..., s. 40),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Mateusz Wyrwich (Nie miałem..., s. 60),
członek zespołu „Tygodnika Solidarność" w roku 1981. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W III RP pisarz i publicysta. Autor m.in. trzytomowej serii „Kapelani Solidarności 1980–1989".

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 850b49e09b

„PÓKI CZAS"

ANTONINA KRZYSZTONI

W SALI BHP

22. SIERPNIA, GODZ. 19.00

ZAPRASZAMY NA WYJĄTKOWY KONCERT
W 45. ROCZNICĘ I FESTIWALU PIOSENKI
PRAWDZIWEJ „ZAKAZANE PIOSENKI"

SALA BHP STOCZNI GDAŃSKIEJ,
UL. KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI 6

BILETY KUPISZ NA **BILETYNA.PL**

Fundacja Promocji Solidarności

SALA BHP

NSZZ SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

tysol.pl

eprasa.pl 850b49e09b



Organizatorzy:

Patoronat medialny:

eprasa.pl 850b49e09b